

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA
(Wersja podstawowa – bez zdjęć)
SPIS TREŚCI

Raport z pobytu na Wyspach Salomona	2
Załącznik I: Wyspy Salomona: podstawowe informacje o kraju	40
Załącznik II: Czas, ludzie i pieniądze na Wyspach Salomona: kilka uwag i spostrzeżeń.....	46
Załącznik III: Opowieści o gigantach (<i>kastom stories</i>)	50
Załącznik IV: Grafika dotycząca przeprowadzonych badań	54

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA 19.08 – 14.09.2008



W komentarzach, które umieszczono pod znajdującym się na stronach Fundacji Nautilus (<http://www.nautilus.org.pl>) tekście, zapowiadającym nasz wyjazd na Wyspy Salomona, pojawiły się obawy, czy aby owo zadanie badawcze nie przerodzi się w egzotyczne wakacje o tysiące mil od domu. Dlatego też chciałem na wstępie sprostować wszelkie wątpliwości: **WSZYSTKIE** koszty pobytu i przejazdu pokrywaliśmy z **WŁASNEJ** kieszeni. Był to dla mnie i mojej dziewczyny wyjazd **URLOPOWY** i nie spodziewaliśmy się ze strony Fundacji Nautilus żadnej partycypacji w kosztach, tym bardziej biorąc pod uwagę fakt, że są to koszty niemałe. A zatem – tak, były to nasze wakacje i w związku z tym moje prace badawcze na Wyspach Salomona wynikały wyłącznie z nieprzymuszonej woli i sympatii, jaką darzę Nautilusa. Dlatego też mieliśmy prawo do takiego spędzania naszego czasu, jaki uznamy za stosowne. Jednakże nie bez przyczyny wybraliśmy Wyspy Salomona. Załączone artykuły autorstwa Mariusa Boirayona (w moim tłumaczeniu na stronach Nautilusa, wcześniej zaś w innym tłumaczeniu opublikowane w piśmie Nexus) wyjaśniają – mam nadzieję – powód, dla którego zdecydowaliśmy się także reprezentować Fundację Nautilus i spróbować dowiedzieć się – choćby pobieżnie – czy opisywane przez Australijczyka zjawiska i byty mogą być prawdziwe, czy też istnieją wyłącznie w świecie salomońskich mitów i podań (tzw. *kastom stories*). Dalsza część raportu wyjaśni, jak sądzę, co udało się ustalić oraz dlaczego **ABSOLUTNIE KONIECZNE** jest zorganizowanie w te rejony odpowiedniej ekspedycji, a właściwie, jak postaram się to pokazać, odpowiednich ekspedycji. Umożliwi też zrozumienie, dlaczego większości tajemnic Wysp Salomona nie udało się rozwikłać.

Zamieszczony tekst autorstwa australijskiego badacza, Mariusa Boirayona, opisuje istnienie dziwnych światła, zwanych „Wężowymi Smokami” oraz tajemniczych stworzeń, zwanych gigantami. Ponadto z innych źródeł (w Internecie oraz na miejscu) dowiedzieliśmy się o „małych ludziach”. Początkowo zatem założonym celem wyjazdu było sprawdzenie następujących informacji:

- „Wężowe Smoki”, czyli dziwne światła (UFO?), widywane na wyspach Guadalcanal i Malaita: Czym są? Gdzie dokładnie są widywane? Jak wyglądają? Co jest celem ich działalności i pojawiania się w ściśle określonych miejscach o ściśle określonych porach nocy?
- Giganty (a raczej, jak się później okazało, giganty „właściwe” oraz stworzenia zwane „mu-mu” i „chowa-chowa” a także inne, w tym takie,

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

które przywodzą do pewnego stopnia na myśl... sumeryjskie bóstwa Ea, Enki czy Enlila – pół-ludzie, pół-ryby), widywane na wyspach Guadalcanal i Malaita: Czym są owe stworzenia? Czy są prawdziwe? Co mówią o nich podania, tzw. kastom stories? Gdzie są ich siedziby?

- *„Mali ludzie” – tzw. „kakamoro” – zamieszkujący wyspy Makira i Guadalcanal: Czym są owi dziwni, malutcy ludzie, o których opowiadają miejscowi?*

To bardzo ambitne zadanie, wiedziałem jednak przecież z góry, że wszystkich jego punktów nie uda mi się zrealizować, gdyż do tego potrzebne byłoby zaangażowanie o wiele większych środków i o wiele większej ilości osób. Jeśli jednak udałoby się potwierdzić czy zweryfikować nawet choćby niewielką część powyższych danych – stanowiłoby to już duży sukces i przyczynek do dalszych badań arcyfascynujących zagadek archipelagu.

Istniał jeszcze jeden cel wyjazdu na Wyspy Salomona (poza zwykłym i zasłużonym odpoczynkiem), a mianowicie próba potwierdzenia niektórych szczegółowych informacji, podanych przez Boirayona, dotyczących osób, które mogłyby coś wiedzieć o „Wężowych Smokach”, gigantach lub „małych ludziach” albo które je widziały; ponadto Boirayon wspomina o informacjach na łamach gazety „Solomon Star” i na antenie radiostacji SIBC – owe stwierdzenia także należało sprawdzić. W szczególności zaś chodziło o dotarcie do samego autora publikacji, z którym kontakt przez Internet był niemożliwy.

A oto relacja z naszego pobytu.

* * *

Wyspy Salomona nie są najłatwiejszym krajem do podróżowania, zarówno ze względu na swe oddalenie, jak i na fakt, że turystyka nie jest tu jeszcze tak rozwinięta, jak chociażby u (zamorskich) sąsiadów tego kraju, takich jak Fidżi czy Vanuatu, natomiast infrastruktura i organizacja są w najlepszym razie mierne, w najgorszym – fatalne. Ponadto Salomończycy posiadają specyficzną mentalność, która sprawia, że wiele obietnic nie zostaje dotrzymany, a lokalne *kastom* (obyczaje) i *tambu* (tabu) czynią dostęp do niektórych miejsc możliwym wyłącznie za zgodą całej wspólnoty (często po wniesieniu stosownej opłaty) lub też zgoła całkowicie wzbronionym.

Nie spodziewaliśmy się jednak, że wyspy obłożą nas swoistą klątwą, i to zanim na dobre postawimy stopę na salomońskiej ziemi.

Nasza planowana trasa miała przebiegać następująco: 14 sierpnia 2008 r. przelot z Warszawy do Londynu, tego samego dnia przelot liniami Emirates przez Dubajj z Londynu do Brisbane i 16 sierpnia (po uwzględnieniu zmiany daty przy poruszaniu się z zachodu na wschód) przelot z Brisbane do Honiary – stolicy Wysp Salomona.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Lot z Warszawy do Londynu udał się nadzwyczaj dobrze i punktualnie o 19:05 – zgodnie z rozkładem – wylądowaliśmy na lotnisku Gatwick, z którego spodziewaliśmy się wyruszyć dalej.

Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu i rozczarowaniu, a także rozpaczy i wściekłości, okazało się wszakże, iż linie lotnicze Emirates – uważane za jedne z lepszych w regionie – zarezerwowały więcej miejsc, niż to było przewidziane (tzw. overbooking), tak więc pomimo faktu, że sami dokonaliśmy rezerwacji już w kwietniu – nie dostaliśmy się na pokład samolotu. Próbowaliśmy tłumaczyć, że mamy łączyć lot na Wyspy Salomona, pytaliśmy się też, czy któryś z pasażerów, lecących do Dubaju lub Brisbane mógłby zwolnić dla nas miejsce. Niestety, nasze próby przekonania personelu naziemnego o absolutnej konieczności odbycia tego lotu spełzyły na niczym. Ciekawe, czy gdybyśmy krócej czekali na odbiór naszych bagaży, udałoby się polecieć...

Pracownicy linii Emirates zachowali się jednak przyzwoicie: zaproponowali nam darmowy przewóz taksówką z lotniska Gatwick na Heathrow, darmowe zakwaterowanie z niezłej jakości hotelu niedaleko Heathrow oraz darmowy bilet zastępczy na kolejny dzień na trasę Londyn-Hong Kong-Melbourne-Brisbane (a także ponad 400 funtów na osobę w gotówce). Problem polegał jednak na tym, że oznaczało to późniejszy wyjazd: nie tylko musieliśmy spędzić dodatkowy, nieplanowany dzień (a raczej noc) w Londynie, ale też ryzykowaliśmy, że nie zdążymy na lot do Honiary – pomiędzy przylotem do i wylotem z Brisbane mieliśmy teraz zaledwie półtorej godziny.

Następnego dnia wzięliśmy (na szczęście także darmowy) autobus z hotelu na lotnisko i już bez większych problemów przeszliśmy przez odprawę bagażową i biletową na nasz lot do Australii liniami Qantas. Lot przebiegł bez żadnych zakłóceń, choć godziny spędzone w samolotach (najpierw z Londynu do Hong Kongu, potem z Hong Kongu do Melbourne) dłużyły nam się niemiłosiernie.

W Melbourne musieliśmy znowu się przesiąść na krajowy lot do Brisbane. Oznaczało to ponowny odbiór bagaży i czekanie przy taśmociągu.

Jakież było nasze przerażenie i frustracja, kiedy okazało się, że... nasz bagaż zaginął! Nie doleciał do Melbourne, a może i do Hong Kongu. Bez ciepłych ubrań (zima w Australii może być naprawdę chłodna, a temperatura wieczorem nie przekraczała 5-7°C!), bez przyborów do mycia, bez lekarstw i innych mniej lub bardziej przydatnych rzeczy, pozostawiono nas samym sobie, dając nam jedynie podstawowe rzeczy, takie jak mydło, szampon i pasta do zębów.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Frustracja udzieliła się szczególnie Ani, której taka przygoda przytrafiła się po raz pierwszy. Ja jednak byłem dobrej myśli i wyrażałem przekonanie, że w Brisbane odnajdziemy nasze plecaki.

Dzięki brakowi bagażu stosunkowo szybko i łatwo przeszliśmy przez odprawę bagażową. Jedynym problemem było to, że wykorzystano naszą tranzytową wizę do Australii, która miała nam posłużyć podczas pobytu w Brisbane w drodze powrotnej do Polski. Stąd wynikała konieczność załatwienia takiej wizy powtórnie w konsulacie Australii w Honiary.

Zziębnięci, zmęczeni, niewyspani i rozdrażnieni (zwłaszcza Ania) oczekiwaliśmy godzinami na nieogrzewanym lotnisku w Melbourne na nasz kolejny lot do Brisbane.

Po przybyciu na miejsce skierowaliśmy się od razu w stronę lotniska międzynarodowego, aby po pierwsze sprawdzić status naszego bagażu, a po drugie – ze względu na brak tego ostatniego – spróbować zmienić rezerwację naszego biletu do Honiary na najbliższy termin, czyli na wtorek. Przy okazji dowiedzieliśmy się, że lot na Wyspy Salomona został... przeniesiony z soboty na niedzielę! O tym także nie zostaliśmy poinformowani.

Na szczęście bardzo sympatyczny pracownik linii Solomon Airlines bez żadnych ceregieli i dodatkowych opłat dokonał stosownej zmiany.

Tak więc czekał nas dwudniowy pobyt w Brisbane i – naturalnie – oznaczało to dwudniowe (a właściwie trzydniowe) opóźnienie w przybyciu do naszego celu. Kłątwa Salomonów?

Brisbane okazało się także chłodne, jednak nie tak, jak Melbourne. Znaleźliśmy niedrogi (jak na australijskie ceny) hotel niedaleko lotniska i czekaliśmy, co z naszym bagażem. Ku naszej wielkiej uldze w końcu się odnalazł, lecz... brakowało w nim całego naszego zapasu żywności liofilizowanej, którą przywieźliśmy z Polski z myślą o pobytach w salomońskich dżunglach. Została ona zarekwirowana przez Australijski Urząd ds. Kwarantanny. Panujące w Brisbane przepisy sanitarne należą do najostrzejszych nie tylko w Australii, ale i na całym świecie. Ponieważ nasza żywność – pomimo hermetycznego opakowania – zawierała wołowinę z Niemiec (Australijczycy wykazują paranoiczny wręcz lęk przed chorobą wściekłych krów i wszelkimi zarazkami) – została skonfiskowana. Na szczęście tuż przed wylotem – po uiszczeniu, a jakże, stosownej opłaty – odzyskaliśmy całą naszą żelazną rację.

W drugim dniu pobytu w Brisbane spotkaliśmy się z naszymi znajomymi z organizacji Hospitality Club (<http://www.hospitalityclub.org>), u których mieliśmy się zatrzymać w drodze powrotnej. Liz i John mieszkają wraz z trzema synami w luksusowym domu na przedmieściach. Powitali nas bardzo serdecznie i poczęstowali

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

pysznym jedzeniem. Niestety nie było za dużo czasu na zwiedzanie miasta, które zresztą nie obfituje w znaczącą ilość atrakcji.

19 sierpnia wreszcie odlecieliśmy na upragnione i wymarzone Wyspy Salomona, które powitały nas przytłaczającym, wilgotnym upałem.

Po bezproblemowej niemal (jeśli nie liczyć kolejnych pytań o naszą żywność liofilizowaną) odprawę paszportową udaliśmy się do hostelu, prowadzonego przez tzw. *tasiu*, czyli świeckich misjonarzy anglikańskich, skupionych w Bractwie Melanezyjskim. Podczas niepokojów i zamieszek etnicznych w latach 1998-2003 odegrali oni istotną rolę w zaprowadzeniu pokoju i ładu w kraju, a niektórzy z nich oddali za tę sprawę swe życie. Z drugiej jednak strony, prowadząc intensywną, a nawet agresywną, działalność misyjną i ewangelizacyjną przyczyniają się oni do bezpowrotnego zaniku tradycyjnych zwyczajów, wierzeń i wartości.

Pierwszego dnia pobytu w tym tropikalnym, pełnym bujnej zieleni kraju byliśmy zbyt zmęczeni, by podejmować jakiegokolwiek działania, toteż po zakupieniu czegoś do jedzenia i picia oddaliśmy się słodkiemu nieróbstwu na werandzie hostelu z widokiem na port i ocean.

Kolejny dzień (oprócz załatwienia tranzytowej wizy australijskiej) należało rozpocząć od weryfikacji danych, zawartych w tekstach Mariusa Boirayona, a najlepiej od próby dotarcia do niego. Lecz gdzie zacząć poszukiwania? Może od sprawdzenia informacji, czy rzeczywiście większość mieszkańców Honiary i Guadalcanal słyszała o „Węzowych Smokach” i o gigantach? Przeprowadzone w tym temacie krótkie „dochodzenie” zdaje się potwierdzać, iż znaczna część mieszkańców stolicy i wyspy co najmniej słyszała opowieści o gigantach i dziwnych światłach, a jest też wśród nich parę osób, które znają tradycyjne opowieści o gigantach (kilka takich opowieści – przeczytanych w bibliotece lub zasłyszanych od miejscowych i przetłumaczonych na język polski – znajduje się w załączniku do niniejszego sprawozdania). Przynajmniej ta część stwierdzeń Australijczyka wydawała się być prawdziwa. Lecz jak dotrzeć do samego autora? Jak zweryfikować jego pozostałe stwierdzenia?

Boirayon w swych artykułach kilkakrotnie powołuje się na swego znajomego – czy wręcz przyjaciela – byłego premiera Guadalcanal i Wysp Salomona, Ezekiela Alebuę. Należało więc spróbować skontaktować się bądź z nim bezpośrednio, bądź z pełniącym funkcje przewodnika turystycznego jego młodszym bratem, Dominikiem.

Swe poszukiwania rozpocząłem jednak od wizyty w Muzeum Narodowym, zarówno gromadzącym artefakty i budowle, reprezentujące style i kultury poszczególnych wysp archipelagu, jak i posiadającym spore zbiory biblioteczne. Tego dnia nie udało się nam niczego dowiedzieć. Niemniej miałem już jakiś punkt zaczepienia.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Swe kroki skierowaliśmy następnie do siedziby parlamentu, znajdującego się na górującym nad miastem wzniesieniu. Prosta i niezwykle krótka (może 5 minut) wspinaczka wycisnęła z nas ostatnie poty – gorąca wilgoć oblepiła nas zewsząd.

W siedzibie parlamentu miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś o Ezekielu Alebui i ewentualnie nawiązać z nim jakiś kontakt. I rzeczywiście. Uzyskałem informację, iż były premier prowincji i kraju... przebywa w więzieniu! W przypadku Wysp Salomona nie jest to może aż tak dziwne, albowiem wszechobecna korupcja, koteria i kłamstwa sprawiają, że rządy zmieniają się tu nawet co kilka-kilkanaście miesięcy. Dla mnie jednak informacja ta stanowiła naturalnie cios, gdyż oznaczała, że kontakt z jedną z nielicznych osób, znających Boirayona osobiście – i jedną z kilku, które widziały „Wężowe Smoki” oraz miały styczność z gigantami – był teraz utrudniony lub zgoła niemożliwy.

Istniał wszakże jeszcze jeden sposób na dotarcie do Boirayona – poprzez młodszego brata Ezekieła, Dominika. Jeszcze wcześniej, w Polsce, dowiedziałem się, że kontakt z nim możliwy jest w siedzibie lokalnego rządu prowincji, pod warunkiem, że Dominic nie znajduje się akurat po drugiej stronie wyspy Guadalcanal, na wybrzeżu zwanym Weathercoast, w miejscowości Avu Avu.

Po dotarciu do siedziby rządu Guadalcanal udało nam się znaleźć taksówkarza, który zgodził się zabrać nas do domu Alebui. Coraz bardziej kręta droga wiodła przez gęste zarośla i lasy palmowe, co przywoływało nieco na myśl dżungle, znajdujące się w głębi kraju.

Naturalnie salomońska klątwa trwała nadal: Dominic Alebua znajdował się akurat w Avu Avu.

Zatem trop urywał się niespodziewanie, a ja dalej nie miałem informacji o Boirayonie.

Kolejnego dnia postanowiłem kontynuować swe poszukiwania. Ania dopiero zaczęła odczuwać skutki przesunięcia stref czasowych (tzw. jet lag), więc zostawiłem ją, by odpoczęła, a sam udałem się najpierw do siedziby gazety „Solomon Star”. Wedle informacji zawartej w tekście Boirayona, w roku 1996 na łamach tej właśnie gazety, na pierwszej stronie, ukazało się zdjęcie, przedstawiające schwytane przez ludzi tajemnicze stworzenie, zwane „Cho-Cho” lub „Chowa-Chowa”.

Bardzo miła i uczynna pani udzieliła mi swej pomocy i udostępniła cały rocznik gazety za rok 1996. Niestety, pomimo przejrzenia wszystkich zdjęć, ze wszystkich gazet, zebranych razem w dwóch opasłych tomiskach – nie udało mi się odnaleźć rzeczzonego zdjęcia. Istnieją zatem trzy możliwości: 1) albo zdjęcie pojawiło się w innym roku, 2) albo pojawiło się w 1996 roku w innej gazecie, niż „Solomon Star”

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

(wychodzą jeszcze co najmniej dwa krajowe tytuły), 3) albo wreszcie zdjęcie takie nigdy nie istniało.

Po wizycie w biurze gazety skierowałem swe kroki do stacji radiowej SIBC (Solomon Islands Broadcasting Corporation). Wedle słów Boirayona, swego czasu (w okolicach roku 2000) rozgłośnia ta nadała wiadomość o rzekomym spotkaniu pewnego anglikańskiego misjonarza z przedstawicielem gigantów, niejakim Luti Mikode. Innym znowu razem głośno było ponoć za sprawą SIBC o spotkaniu przedstawicieli plemienia Tangarare z grupą gigantów. Pragnąłem potwierdzić owe informacje bezpośrednio u źródła. Niestety, nikt nie był w stanie poinformować mnie, czy i kiedy istotnie nadawano takie wiadomości. Skontaktowano mnie natomiast z bibliotekarką radiostacji, która obiecała polecić mnie wiekowemu, występującemu na falach eteru, opowiadaczowi ludowych podań (*kastom stories*) nazwiskiem Luk Susuta. Człowiek ten znał wiele opowieści (w tym o gigantach) z różnych stron kraju i wiedział, skąd pochodzą dane historie i kto mógłby mi dalej pomóc. Jednakże pana Susutę niełatwo zastać. Pomimo prób nie udało się z nim umówić, co w świetle późniejszych wydarzeń przestało mieć aż tak istotne znaczenie.

Następnym zadaniem była weryfikacja innego stwierdzenia australijskiego autora, dotyczącego istnienia w Centrum Kultury (Cultural Centre) 15-stronicowej książeczki, zawierającej 14 podobizn rzekomych obcych („szaraków”), oficjalnie zaś „mitologicznych stworzeń” z Wysp Salomona. Okazało się jednak, że Centrum Kultury zostało zamknięte, a wszelkie zbiory tej instytucji przeniesiono do biblioteki Muzeum Narodowego. A zatem po raz kolejny należało pójść do siedziby Muzeum, by na własne oczy i uszy przekonać się, co mają do powiedzenia (i pokazania) pracownicy tej instytucji. Jednakże pomimo szczegółowych opisów nie udało się pracownikom muzeum odnaleźć żadnej takiej książeczki. Czy istnieje? Jeśli tak, to gdzie jest? Czy faktycznie przedstawia istoty, które znane są pod popularną nazwą „szaraków”? Oto pytania, które wymagają pilnej odpowiedzi i zbadania. Gdzie jednak rozpocząć poszukiwania – jest zagadką, którą niełatwo rozwiązać.

Tego samego dnia postanowiłem zrobić jeszcze jedną rzecz, a mianowicie udać się... do więzienia w Honiarze, by przynajmniej spróbować porozmawiać z Ezekielem Alebuą. Nie okazało się to całkowicie niewykonalne, wymagało jednak napisania do dyrekcji więzienia specjalnego listu, wyjaśniającego cel wizyty. Okres oczekiwania na odpowiedź wynosi tydzień do dwóch. Zastanawiałem się nawet, czy nie napisać takiego listu, późniejsze wydarzenia i informacje sprawiły jednak, że rozmowa z Ezekielem Alebuą nie była już tak palącą kwestią.

Nazajutrz rano spotkaliśmy się w naszym hostelu z Ann, posiadającą tytuł doktora Uniwersytetu w Lund Szwedką, która wyszła za mąż za Salomończyka pochodzącego z ludu Kwaio na wyspie Malaita i od dwóch lat mieszka na Wyspach Salomona w warunkach, które większość Europejczyków uznałaby zapewne za prymitywne, które zaś w istocie są po prostu skromne. Od Ann i Roberta uzyskaliśmy szereg

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

pożytecznych informacji, z których najważniejszą była ta, że w oddalonej od Honiary o 20-30 kilometrów osadzie Aruliho mieszka niejaki John Maeli, u którego zatrzymał się – jak co roku – Chris Blackwell.

Kim jest Chris Blackwell? Ten liczący sobie ok. 60 lat Australijczyk, który ukończył wydział inżynieryjny i był przez wiele lat pilotem, prowadzi obecnie w swym kraju wypoczynkowy kurort, a ponadto zajmuje się produkcją w Indonezji biżuterii, którą sprzedaje następnie w Australii.

Lecz najważniejsze było to, iż Chris jest także badaczem spraw dziwnych i niewyjaśnionych i że przyjechał na Wyspy Salomona – jak co roku – także po to, by badać sprawę gigantów i dziwnych światła. Takiej okazji nie sposób było przegapić. Musieliśmy pojechać do Aruliho.

Znajomy taksówkarz Roberta zabrał nas do wioski za 300 dolarów salomońskich (ok. 100 zł) – Wyspy Salomona, jak mieliśmy okazję jeszcze niejednokrotnie się przekonać, nie należą wbrew pozorom do najtańszych krajów.

Ostatnie kilka kilometrów przeszliśmy pieszo – stan dróg, szczególnie wewnątrz Guadalcanal, pozostawia – mówiąc delikatnie – wiele do życzenia, a że wcześniej padał deszcz (który nieraz jeszcze dawał nam się we znaki i krzyżował nam plany), do butów przykleja się nam gęste błoto. Samochód (zwłaszcza osobowy) nie miałby tu większych szans.

W końcu oczom naszym ukazuje się osada Aruliho. Kilka podobnych do siebie domów, wspartych dla lepszej wentylacji na wysokich palach, o drewnianych ścianach i o dachach z palmowych liści lub blachy falistej.

Docieramy do domu Johna Maeli. Wraz z Chrisem i kilkoma innymi mężczyznami zajęty jest budową pomieszczenia do mycia ogólnego przeznaczenia (mającego służyć myciu ciała i naczyń oraz praniu). To pomysł (i w dużej mierze realizacja) Chrisa, który – w zamian za pomoc miejscowych mieszkańców w jego badaniach – odwdzięcza im się, pomagając w konkretny sposób. Chris potwierdził historie o gigantach i wskazał na jedną z widocznych z wioski gór jako na tę, którą zwą Dragon Mountain (Smocza Góra) i z którą (lub wokół której) niemal każdej nocy widoczne są światła, przez miejscowych nazywane Dragon Snake („Wężowe Smoki”). Oficjalna nazwa tej góry to – jak nareszcie się dowiedziałem – Gallago lub Galego (wedle różnych pisowni). Jestem naturalnie żywotnie zainteresowany tak światłami (oraz gigantami), jak i wejściem na wzgórze lub jego pobliże. Chris oraz John mówią, że jest to możliwe. Ustalamy, że po wyjeździe Chrisa do Australii (który nastąpić ma za kilka dni) przyjedziemy do Johna, aby spróbować dokonać eksploracji.

Chris podzielił się także ze mną jakże istotną – z punktu widzenia moich poszukiwań – informacją. Okazało się, że Marius Boirayon, od którego tekstów

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

o gigantach i światłach wszystko się zaczęło, był ścisłym współpracownikiem Chrisa w jego własnych badaniach. Wedle tego, co twierdzi Chris, po opublikowaniu artykułu Boirayonem „zainteresowały się” tajne służby Australii, a on sam skończył jako psychicznie i nerwowo niestabilny wrak człowieka i powrócił do swego kraju.

Tymczasem angażuję się aktywnie w pomoc w budowie „myjni” – mieszam i wylewam beton, wcześniej z dna wyschniętej rzeczki ładuję łopatą sypki żwirek, który zmieszany z cementem i wodą daje mocny beton. Chris specjalnie po ten żwirek wjeżdża swą wypożyczoną terenówką w wąski przesmyk między zaroślami, które prawie rysują karoserię pojazdu.

Angażuję się w pracę tak bardzo, że postanawiamy zostać u Johna jeszcze trochę dłużej. Żegnamy się z Ann i Robertem i omawiamy możliwość kolejnego spotkania.

Przed opuszczeniem wioski Aruliho (odwozi nas Chris) umawiamy się na kolejny dzień na wizytę w tzw. Jaskini Giganta. Ponoć niegdyś mieszkało tam jedno z owych mitycznych – a może całkiem rzeczywistych – stworzeń. Po zwiedzeniu jaskini mamy pojechać na niedaleką plażę, by zażyć relaksu i kąpieli.

Nazajutrz istotnie przyjeżdża po nas niejaki Tunga, powszechnie zwany przez wszystkich „Mister T”. Taksówką znajomego podwozi nas w głąb lasu. Potem jeszcze 5-10 minut lekkiego marszu i oczom naszym ukazuje się ogrodzenie z drutu kolczastego z zamkniętą na kłódkę drewnianą bramą. Przechodzimy pod drutami i docieramy do jaskini. Pokryta jest ona bardzo dziwnymi znakami, inskrypcjami, rysunkami. To ponoć pismo gigantów. Ortodoksyjni badacze z głównego nurtu nauki twierdzą, iż są to ślady najwcześniejszego osadnictwa na Wyspach Salomona. Bez względu jednak na to, kto w przeszłości zamieszkiwał jaskinię, pozostaje faktem, że owych naskalnych rytów nikomu do tej pory nie udało się rozszyfrować.

Robimy serię zdjęć jaskini. Dopiero po ich powiększeniu na wyświetlaczu aparatu zauważamy, że część z rysunków przypomina... twarze tzw. „szaraków”. Czy to tylko nasza pobudzona wyobraźnia? Czy między gigantami a „Wężowymi Smokami” istniał lub istnieje jakiś związek? Kim są – o ile naprawdę istnieją – owe dziwaczne stworzenia? Odpowiedzi na te pytania nie są możliwe bez dogłębnych badań i studiów oraz bez zorganizowanej ekspedycji. W każdym razie nie dziwię się, że – choćby nawet tylko w mitach i legendach – jaskinia ta uchodziła za siedzibę gigantów.

W drugiej połowie dnia jedziemy na plażę Bonegi. Zostajemy dwie godziny, a Mister T pilnuje naszych rzeczy. Kąpiemy się w ciepłym oceanie, rzucając się na spienione fale, które raz po raz zalewają nas po uszy. O kilkaset metrów od nas z wody wystaje przerdzewiały wrak Kinugawa Maru, japońskiego statku transportowego, znanego także jako Bonegi II (niedaleko, o zaledwie 800 metrów, spoczywa pod wodą wrak podobnego statku, Hirokawa Maru, zwanego również Bonegi I). W listopadzie 1942 roku statek ten przewoził na Guadalcanal zapasy broni, amunicji, żywności

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

i środków transportu. Został dostrzeżony przez amerykańskie łodzie patrolowe i zatopiony. Wrak statku sterczy teraz pionowo w górę, a pod wodą znajduje się 26 metrów okrętu. To nie rezultat amerykańskich bomb i torped, lecz tsunami i huraganu. Jak wynika ze zdjęć, pierwotnie pozycja wraku była zupełnie inna. Zresztą nie to jest najważniejsze. Tu pełno takich rozbitych okrętów, tak japońskich, jak i amerykańskich. Spoczywają one jednak zazwyczaj na o wiele większej głębokości, od kilku do kilkudziesięciu metrów. To pozostałości ostrych walk na morzu z czasów II Wojny Światowej, zwanych „Bitwą o Guadalcanal”. Straciło w nich życie po obu stronach bardzo wielu ludzi.

Po kąpieli robimy sobie spacer plażą w bijących z nieba promieniach słońca. Wprost nad brzegiem szumią kojąco pióropusze liści palmowych. Słońce, wiatr, fale... Cudownie. I wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fakt, że w swym zachwycie upływającym, pełnym wrażeń dniem (a w istocie w swym zapominalstwie i głupocie) ani nie założyłem żadnego nakrycia głowy, ani nie posmarowałem się kremem przeciwsłonecznym. Rezultat – już po kilku godzinach – jest opłakany. Skóra na plecach, ramionach i nogach pali i piecze, przybierając niemal buraczkowy kolor, a ja mam wrażenie, że dostaję gorączki. Kiedy Ania pod wieczór spryskuje mnie specjalnym sprejem, łagodzącym tego typu podrażnienia – czuję, jak dreszcze przenikają me ciało i cały drzę z zimna. Łykam gripex i aspirynę, lecz nazajutrz pieczenie skóry jest niewiele mniejsze, za to pojawia się ból gardła, więc w ruch idą też pastylki przeciwbólowe.

Kolejnego dnia – ze względu na nienajlepszy stan zdrowia – nie robimy wiele. Odwiedzamy jedynie Ann i Roberta w ich wiosce. Jak już wspomniałem, żyją oni w skromnych warunkach, w drewnianej chacie na palach, lecz i tak pławią się w luksusach w porównaniu z wieloma innymi mieszkańcami wsi, albowiem mają prąd, telewizor, DVD, kuchenkę elektryczną i jeszcze parę innych udogodnień. Przeglądając parę tygodni później profil Ann w Google’u, jesteśmy tym bardziej pełni dla niej podziwu za całkowitą zmianę sposobu i stylu życia w porównaniu z tym, co miała i co znała w Szwecji.

Zanim dostaliśmy się do domu Ann i Roberta, musieliśmy... przepawić się na drugi brzeg rzeki Mataniko. W jej poprzek przeciągnięty jest sznur, przymocowany do kołków. Przepawa polega na stanięciu na chybotałej tratwie, przypominającej stare drzwi i na przeciąganiu liny. Jedno zachwianie się, chwilowa utrata równowagi – i już można wylądować w śmierdzących i brudnych wodach rzeki, która na tym odcinku (niedaleko ujścia) ma jakieś 150-200 cm głębokości. Potem zaś jeszcze trzeba wygramolić się na śliski i dość stromy drugi brzeg.

Ann i Robert podjęli nas bardzo gościnnie, oferując pyszny sok z kokosów, ciasto, kawę i ananasy. Nagusieńki jag go Bóg stworzył dzieciaczek imieniem Tome biega po całym obejściu, nie zważając na deszcz, glinę, skały i śmieci. Wizyta powoli dobiega końca. Jeszcze tylko ponowna przepawa przez Mataniko i już wracamy do domu.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Na mej spalonej skórze tworzą się żółtawe bąble.

Kolejnego ranka czuję się nieco lepiej – może zadziałały leki i „wypociłem” część choroby – chociaż bąblowata skóra na plecach wciąż piecze. Postanawiamy z Anią wybrać się nad wodospad Mataniko, znajdujący się w górnym biegu rzeki, nad którą (w jej dolnym odcinku) mieszkają Ann i Robert.

Bierzemy taksówkę do wioski Lili, bowiem stamtąd rozpoczyna się trek do wodospadu. Okazuje się, że i tu czeka nas przeprawa przez rzekę – tym razem w bród, gdyż woda sięga tu najwyżej do kolan. Co więc robią dwa „białasy”? Zdejmują swe buty trekkingowe, zdejmują skarpetki, podwijają nogawki spodni i ostrożnie, delikatnie, by nie pokaleczyć wrażliwych stóp o kamienie na dnie, brodzą w rzece. Następnie dokładnie wycierają ręcznikiem nogi, zakładają skarpetki i buty, sznurują buty i opuszczają nogawki spodni. Cała operacja przejścia przez nurt o szerokości ok. 20 metrów zajęła nam około 15 minut. Naturalnie miejscowi, nic sobie nie robiąc z kamieni i ostrych skał, przechodzą rzekę boso w kilkanaście sekund.

Na drugim brzegu rzeki czekał już na nas szef wioski, pobierający opłaty za wspinaczkę i zejście nad wodospad. Zanim wyruszyliśmy, pokazał nam jeszcze swą kolekcję kasków, kanistrów, broni, butelek, pasów i innych pozostałości po II Wojnie Światowej. Wszak to tu właśnie rozgrywały się zażarte walki pomiędzy Amerykanami a Japończykami – na wzgórzach zwanych ze względu na swój kształt Galopującym Koniem („Galloping Horse”) – przedstawione w książce i filmie „Cienka czerwona linia”.

W końcu nasz przewodnik Tony, Ania i ja rozpoczynamy wspinaczkę na wzgórze, oznaczone w czasie wojny przez Amerykanów jako 50, 51, 52 i 53. Początkowo szlak jest bardzo stromy i wiedzie przez porośniętą trawą wzgórze. Potem to wspinamy się, to schodzimy w palącym słońcu, wśród wysokich traw.

Zatrzymujemy się na wysokiej grani. Nagle przed nami wyrasta ściana lasu. Pochłania nas wilgotna duchota dżungli, a ciemny baldachim drzew odcina słoneczne światło. Spoglądamy w dół. Czeką nas bardzo strome zejście po śliskiej, pełnej wystających, omszałych skał i korzeni, mającej nie więcej niż 40 cm szerokości ścieżce. Niepewnie stawiamy pierwsze kroki. Mimo, iż założyliśmy nasze górskie buty z głębokim bieżnikiem, nogi co i rusz ześlizgują się z wilgotnego podłoża. Obydwoje zaliczamy po kilka upadków, Ania zgina przypadkowo kijek górski, którym się podpierała. W tym czasie nasz przewodnik schodzi sobie zupełnie spokojnie na bosaka.

Ścieżka staje się jeszcze bardziej stroma. W pewnym miejscu nachylenie terenu sięga 80% i musimy trzymać się specjalnie przez Tony’ego uwiązanej liany, by nie spaść.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Miejscami ścieżka zarasta tak bardzo, że Tony musi użyć maczety, by utorować nam drogę.

Kiedy w końcu, po morderczym zejściu (bardziej wyczerpującym, niż wspinaczka), docieramy do wodospadu, jestem tak wycieńczony, że prawie mdleję. Przez całą drogę wypilem tylko sok z jednego kokosa. Jestem więc odwodniony, a ponadto osłabiony przeziębieniem. Toteż po dotarciu resztkami sił do wodospadu wypijam chyba ze dwa litry wody, moczę nogi w strumieniu, polewam sobie kark i głowę. Po 15 minutach robi mi się dużo lepiej.

Nad wodospadem spędzamy mniej więcej godzinę. To w zasadzie seria wodospadów, kaskady wody spływającej z coraz niższych poziomów. Zewsząd otacza nas gęsta, tropikalna dżungla, porastająca strome zbocza, zaś w kilku miejscach znajdują się jaskinie, które – przy odrobinie chęci i czasu – można częściowo spenetrować. Pływamy, kąpiemy się w jeziorku. W końcu czas wracać. Żadne z nas nie ma najmniejszej ochoty wspinać się z powrotem po stromej ścieżce w dżungli. Postanawiamy zatem... spłynąć rzeką Mataniko. Pakujemy nasze plecaki w foliowe płaszcze przeciwdeszczowe, które Ania przezornie zabrała z Polski.

Potem zaś, tak jak stoimy, w trekkingowych butach, spodniach, koszulkach i nakryciach głowy, wskakujemy w rwący prąd wody. Najpierw trzeba przejść po mocno nachylonym głazie, po którym wartko spływa woda. Następnie opuścić się w czeluść stromych skał, skąd leją się strumienie. Do skał przytwierdzona jest liana. Pierwsza schodzi Ania. Udaje jej się zrobić duży krok i od razu wskoczyć do głębokiej prawie na dwa metry wody. Potem schodzę sam. Przytrzymuję się liany, która... pod moim ciężarem pęka. Spadam w dół, wprost na rzeczne kamienie i skały. Na szczęście kończy się na niegroźnym stłuczeniu łokcia i otarciu naskórka na plecach. Płynięcie w chłodnym nurcie Mataniko jest całkiem przyjemne, chociaż – pomimo swych dużych umiejętności pływackich – Ania dwukrotnie niemal tonie, bo ciężkie od wody buty ciągną ją w dół.

Poziom wody w rzece jest różny: raz sięga nam ona po pachy, innym razem zaledwie do kostek. Przez większość swego biegu rzeka płynie tajemniczym, ciemnym wąwozem, porośniętym z obu stron tropikalną dżunglą. Do przesiąkniętych butów co i rusz wlewa się woda, ale koszulka i spodniaki zaczynają schnąć. Teraz już nie brodzymy wzdłuż biegu rzeki, lecz przecinamy ją w poprzek, wędrując zakosami to na jednym, to na drugim brzegu. Do butów dostają się kamyki, utrudniając marsz. Co gorsza, mokre buty zaczynają nacierać mi nogi, gdyż nasączone wodą skarpetki zsunęły się nie wiadomo gdzie.

W końcu docieramy z powrotem do wioski Lilli, gdzie mokrzy i wykończeni, ale bardzo zadowoleni, czekamy na taksówkę. To był bardzo intensywny i pełen wrażeń dzień.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Po przeprawie przez Mataniko spieczona skóra nie pali już tak mocno, a bąble zaczynają przysychać.

Za to następnego dnia czuję, że z godziny na godzinę coraz bardziej tracę głos. Dotychczasowa infekcja gardła przerzuciła się na struny głosowe. Nic więc dziwnego, że dziś nic nie robimy i nigdzie się nie wybieramy, tym bardziej, że pół dnia czekaliśmy na Johna Maeli, z którym umówiliśmy się na rano, a który przybył dopiero po południu. Mamy zamieszkać przez jakiś czas w Aruliho, by udać się w okolice „Smoczey Góry” i dokonać obserwacji dziwnych światła.

Ustalamy cenę za – jak to określił John – „program”: za pobyt w wiosce, wspinaczkę na pobliską górę, z której możliwa jest obserwacja „Wężowych Smoków” oraz transport, przewodnika i tragarzy uzgodniona cena wynosi 2500 dolarów salomońskich. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, jak duży błąd popełniamy.

Nazajutrz, po – a jakże – kilkugodzinnym spóźnieniu, pojawia się John w towarzystwie Mistera T, który swą rozklekotaną, ledwie trzymającą się kupy ciężarówką ma nas zawieźć do Aruliho.

Zanim wyruszymy do wioski Johna robimy coś, co wówczas wydawało nam się dobrym i szlachetnym posunięciem (albowiem, wzorem Chrisa, także chcielibyśmy się przyczynić do poprawy życia tych ludzi), a co potem okazało się kolejnym wielkim błędem. Kupujemy dla niego i jego rodziny 20 kg ryżu, po 10 kg mąki i cukru, nowy czajnik (który miał służyć Johnowi, lecz najpierw przydać się ;podczas pobytu w dzungli), maczetę (tę ostatnią także dla Mistera T), mydło, puszkowane ryby etc. Wydajemy na te wszystkie rzeczy ponad 1000 dolarów.

Docieramy do Aruliho i rozlokowujemy się w domu Johna. Ów zbudowany z drewna budynek wewnątrz posiada „pokoje” sporządzone z poobrywanych kawałków dykty i szmat. Okna – o ile można je nazwać oknami – nie posiadają naturalnie szyb, a jedynie zwisające smętnie kawałki materiału. Oczywiście o elektryczności można zapomnieć, ale dobrze, że osada posiada bieżącą, wiecznie płynącą z gumowego węża źródlaną wodę, gdyż przynajmniej można się umyć, albo – biorąc pod uwagę fakt, że łazienka, czy „myjnia”, nie posiada żadnych ścian – raczej obmyć.

Moje struny głosowe nadal odmawiają posłuszeństwa. To mówię niskim, zmysłowym basem, to znowu tracę głos całkowicie. Poza tym cały czas mam lekki stan podgorączkowy. Za to skóra na plecach i ramionach przestaje piec i zaczyna się łuszczyć.

Na domiar złego zaczyna też źle się czuć Ania. Oznacza to, że cały następny dzień spędzamy u Johna, nie robiąc praktycznie nic. W nocy z kolei spada z nieba tak rześisty deszcz, że nie słyszę własnych myśli. Krople wody odbijają się od wykonanego

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

z blachy falistej dachu domu. Dach nie jest całkowicie szczelny, toteż od czasu do czasu wprost na mnie spada strużka deszczu.

Ulewa sprawia, że kolejnego dnia także niewiele robimy. Dobrą stroną takiego wymuszonego leniuchowania jest to, że możemy dość do siebie, odpocząć, wyspać się, nabrać sił. Łykamy swoje tabletki, poza tym John podaje mi do wypicia tradycyjne „wodne lekarstwo” (czyli coś, o czym wolę nie wiedzieć rozpuszczone w butelce wody) oraz soczek z limonek. Cały ten „zmasowany atak” na moje niedomagania przynosi rezultaty i zaczynam czuć się lepiej i odzyskiwać głos.

Ania jednak w dalszym ciągu ma kiepskie samopoczucie i nastrój, toteż decyduje się jednak nie wspinać z nami na górę w celu obserwacji „Wężowych Smoków”.

Początkowo John wywarł na nas pozytywne wrażenie. Dwoił się i troił, żeby nasz pobyt w jego skromnym gospodarstwie uczynić jak najlepszym. Częstoował nas owocami ze swego ogrodu (który Chris określił jako „żywy supermarket”) – soczystymi papajami, mango, guawami, melonami, arbusami i pysznymi karambolami, zwanymi gwiazdzistymi owocami – dzielił się żywnością. Specjalnie dla Ani wybudował oddzielną latrynę (istniejąca, mówiąc oględnie, nie prezentowała się zbyt czysto, a „wycieczki” do niej po zapadnięciu zmroku – czyli już po 18:30 – nie należały do najprzyjemniejszych) itp. Dopiero później przekonaliśmy się, że nie potraktował nas całkiem uczciwie.

Nadeszła wreszcie upragniona, długo oczekiwana chwila. Po południu wraz z grupą tragarzy wybieramy się na pobliskie wzniesienie, z którego powinniśmy mieć widok na całą „Smoczą Górę” i położoną dalej dolinę. To tam właśnie, wedle relacji świadków i miejscowych mieszkańców (oraz artykułu Mariusa Boirayona), niemal codziennie pojawiają się „Wężowe Smoki”.

John zostaje w wiosce. Wraz z Patrickiem, Erikiem i jeszcze dwoma ludźmi wyruszamy z Aruliho. Początkowo droga jest niemal płaska i wiedzie pośród zarośli na pograniczu lasu i pól uprawnych. Potem nachylenie terenu nieznacznie wzrasta.

Docieramy do wioski. Aby iść dalej i móc wspiąć się wyżej, potrzebujemy zezwolenia starszyny, jako że cały ten teren należy do nich. Niestety, starsze kobiety z wioski są przeciwne i nie zgadzają się na nasze przejście przez ich teren (tu dygresja – na Wyspach Salomona panuje w wielu kwestiach zasada matriarchatu, toteż kobiety, zwłaszcza starsze, mają dużo do powiedzenia, lecz w sprawach dotyczących całej wsi czy społeczności decydują wszyscy starsi wspólnie). Najwyraźniej obawiają się, że możemy być poszukiwaczami złota lub geologami, pragnącymi ciągnąć korzyści z ich ziemi. Ponadto, jak mówią, we wsi nie ma mężczyzn i nie mogą one same podjąć decyzji.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Zarówno Eric z Patrickiem, jak i ja sam podejmujemy bezskuteczne próby przekonania ludzi ze wsi, że nie zamierzamy wyrządzić im czy ich własności żadnej krzywdy. Zauważam, że świadomość doniosłości dziwnych światła, latających im niemal tuż nad głową jest zadziwiająco mała i że warto by zorganizować spotkanie całej wspólnoty, by wytłumaczyć im, czemu obserwacja owych światła jest tak istotna. Ostatecznie jak niepyszni musimy wynosić się ze wsi.

Schodzimy niżej, ku polom uprawnym. Zauważamy, że przy jednym z pól znajduje się tymczasowy szałas, należący do właściciela upraw. Patrick wpada na pomysł, że możemy rozbić tu obóz. Mężczyzna posiadający pole to *wantok* – członek tej samej społeczności, co Patrick. I rzeczywiście zgadza się on na rozbięcie obozu w zamian za odstraszenie od upraw dzikich świń, które lubią się tu zakradać. Rozciąga się stąd doskonały widok na wzniesienia, w tym na „Smoczą Górę”. Niestety ten punkt obserwacyjny jest znacznie oddalony od celu naszej obserwacji, toteż „Wężowe Smoki” (o ile rzeczywiście istnieją i o ile nam się pokażą) widoczne będą mniej wyraźnie, niż wtedy, gdybyśmy obserwacji dokonywali ze stoku pobliskiego wzgórza.

Wedle słów moich przewodników tajemnicze światła widoczne są dopiero po północy. Po rozbięciu obozu oddajemy się opowieściom o zwykłej, a czasem zupełnie niezwykłej, treści pod baldachimem nieba upstrzonego tysiącami gwiazd drogi mleczej – nigdy przedtem nie widziałem takiej ich ilości.

Szczególnie chętny do rozmowy na wszelkie tematy jest Patrick. Ten – na oko – około sześćdziesięcioletni mężczyzna wygląda, jakby był biednym wieśniakiem czy wręcz żebrakiem. Bose stopy, brudne, postrzępione łachmany. Jak sam mi się później przyznał, ukończył jedynie szkołę podstawową. Posiadał jednak zadziwiająco dużą wiedzę i erudycję, które zawdzięczał, jak mówił, obsesyjnemu niemal czytaniu książek. Zanim Patrick opowiedział mi dwie dziwne historie, stwierdził, że zajmuje się obecnie ochroną zagrożonego gatunku żółwia (żółwia skórzastego), zalesianiem oraz ochroną dziedzictwa kulturowego poprzez zbieranie i opisywanie tradycyjnych ziół. Jego otwarty umysł i sympatyczne usposobienie zjednały sobie moją sympatię, a kiedy później w języku pidgin (lokalnym *lingua franca* Wysp Salomona, którego nie znam zbyt dobrze, ale który łatwo zrozumieć, gdyż stanowi uproszczoną i zubożoną wersję angielskiego) tłumaczył swym kolegom o antygravitacji – poczułem niekłamany podziw.

Wytłumaczyłem moim przewodnikom co rozumiemy pod pojęciem niezidentyfikowanych obiektów latających. Powiedziałem, że w pewnych przypadkach doszło według relacji świadków do tzw. wzięć ludzi na pokład dziwnych obiektów, a niejednokrotnie jednym z pierwszych niezrozumiałych sygnałów takiego uprowadzenia była obserwacja przez „ofiara” dziwnego światła, wiszącego nad sufitem, które później niejako hipnotyzowało obserwatora. Wówczas Patrick opowiedział mi swój niezwykły sen, którego interpretację (oraz decyzję co do tego, czy był to istotnie tylko sen) pozostawiam Czytelnikom.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Pierwsza opowieść Patricka. *Działo się to, gdy byłem jeszcze młody. Zostałem wybrany szefem wspólnoty. Starłem się sprawować swe obowiązki możliwie jak najlepiej, jednak wspólnota nie była ze mnie zadowolona. Krytykowali moje decyzje i nie zgadzali się z nimi.*

Któregoś dnia wróciłem do domu i zacząłem się modlić do dawnych bogów. „Pomóżcie mi znaleźć drogę, wskażcie, którędy mam iść i co mam robić w przyszłości, aby inni byli ze mnie zadowoleni i żebym sam lubił to, co robię”.

Potem poszedłem spać. W nocy zauważyłem nad sufitem dziwne światło, które w pewnym momencie zaczęło zbliżać się do mojego czoła. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje, ale znalazłem się w jasno oświetlonym pomieszczeniu, w którymś jakaś istota z jasnymi włosami powiedziała mi, żebym się nie bał. Czułem, że wznieśliśmy się nad ziemię. Zobaczyłem swój dom. A potem ujrzałem długie pomieszczenie, pełne ludzi, którzy recytowali jakieś teksty i głośno rozmawiali. Coś ciągnęło mnie do tego miejsca. Chciałem tam się natychmiast znaleźć. Czułem, że oddalam się od pojazdu, lecz mimo to jakaś siła mnie schwyciła, jakby ktoś położył mi rękę na ramieniu. „Nie teraz, poczekaj jeszcze”, powiedziała istota.

Następnie się obudziłem, a światełko nad sufitem zniknęło.

Kilka dni później znalazłem ogłoszenie, iż poszukuje się ludzi do ośrodka artystycznego. Zgłosiłem się i poszedłem tam. Zobaczyłem dokładnie ten sam budynek, który pojawił się w moim śnie! W środku było pełno ludzi, którzy coś recytowali, rozmawiali. Zapytałem się, czy mieliby miejsce dla mnie i zgodzili się. Tak oto zacząłem robić to, co lubię, chociaż z czasem moje zainteresowania uległy zmianie i teraz czerpię radość z ochrony dziedzictwa kulturowego i przyrody.

Później zaczęliśmy rozmawiać o miejscowych opowieściach i legendach, dotyczących istot, zamieszkujących ponoć głębokie dżungle Wysp Salomona. Patrick jeszcze raz potwierdził, że wielu mieszkańców Guadalcanal, a także Makiry i Malaity, słyszało o gigantach i że niektórzy z nich mieli nawet bezpośredni z nimi kontakt. Oczywiście nie omieszkalem zapytać się o możliwość spotkania z tymi ludźmi, tym bardziej, że część z nich twierdzi, iż posiada włosy lub zęby gigantów. Jeśli cokolwiek z tego jest prawdą, to czyż aż nie prosi się, by poddać takie artefakty dokładnym oględzinom i badaniom?

Patrick wyjaśnił mi także, iż oprócz gigantów „właściwych” z Guadalcanal i Malaity oraz „małych ludzi” z Makiry Wyspy Salomona zamieszkują także stworzenia zwane „mu-mu” oraz „chowa-chowa” (lub „cho-cho”). Z tymi ostatnimi związana jest opowieść, tłumacząca nazwę archipelagu. Otóż kiedy hiszpański żeglarz Alvaro de Mendaña stulecia temu odkrył wyspy i wyszedł na ląd, zatknął w ziemi krzyż i zaczął się modlić. Kiedy miejscowi mieszkańcy zauważyli, że modli się on do drewnianego

krzyża, uznali, że jest to ktoś wyjątkowy i podarowali mu – jak twierdzili – jajo ich bóstwa, „*chowa*”. Był to, jak się okazało, duży samorodek złota. Mendaña uznał, że odkrył oto ląd, na którym Król Salomon ukrył swe legendarne bogactwa. Stąd właśnie wzięła się nazwa kraju. Nie wyjaśnia to jednak w żaden sposób, czym były – lub są – owe dziwne istoty, które żyją gdzieś na pograniczu legend i rzeczywistości, jawy i snu.

Zaintrygowany opowieściami Patricka pokazałem mu monetę, 10 centów salomońskich. Na rewersie tej monety wybita jest podobizna niezwyklego „stwora”, ni to człowieka, ni to ryby. Ta niesamowita istota ma pewne cechy wspólne z opisywanymi w sumeryjskich i babilońskich eposach bóstwami, które jakoby dały początek cywilizacji na ziemi: Ea (Oannesem), Enki czy Enlilem. Oni także opisywani byli i przedstawiani na cylindrycznych pieczęciach Sumerów jako pół-ludzie, pół-ryby. Zbieg okoliczności? Być może. Ale czy to możliwe, że istoty owe żyją naprawdę i że rewers monety nie przedstawia jedynie podobizny jednego z wodnych bóstw, jak chce oficjalna nauka?

Dруга opowieść Patricka. *Kilka lat temu na Makirze mój znajomy udał się na polowanie w głąb dżungli. W pewnym momencie usłyszał szelest zarośli. Gdy się odwrócił, zobaczył istotę z tej monety! Zaczęła go ścigać. Miała czerwone oczy i chciała mu wyrzucić krzywdę. To był jeden z demonów dżungli. Na szczęście mój znajomy zdołał uciec.*

Kiedy kilka dni później w restauracji Lime Lounge – której klientelę stanowią głównie biali turyści i pracownicy miejscowych firm z Australii – zapytałem jedną z kelnerek o podobiznę na rewersie 10-centówki, ta odpowiedziała z całkowitym spokojem, jakby przyjmowała ode mnie zamówienie: „a tak, to diabły z Makiry, mieszkają w dżungli”...

Zbliża się północ. Przenosimy się wszyscy do naszego punktu obserwacyjnego, skąd rozciąga się doskonały – choć odległy – widok na góry, w tym na „Smoczą Górę” – Galego. Mamy szczęście: niebo jest praktycznie bezchmurne, a miriady gwiazd migocą nieustannie, puszczając do nas oczka.

Z początku wzrok musi przyzwyczać się do ciemności. Z trudem dostrzegam zarysy Galego i sąsiednich wzniesień. Przez jakiś czas nie dzieje się nic szczególnego. Nagle dolina po drugiej stronie góry rozświetla się blaskiem. Zrazu blask jest niezwykle słaby, to jaśnieje, to przygasa, trudno go najpierw odróżnić od poświaty gwiazd. Lecz w pewnym momencie blask robi się silniejszy i przybiera kształt słupa czy snopa światła, wlokącego się za poruszającym się wzdłuż zbocza świetlnym punktem. Galego – tak jak pozostałe szczyty – porośnięta jest dżunglą, lecz przecież nie jest to jednolita ściana roślinności, bez żadnych prześwitów. Wśród drzew i krzaków widzę przemykające światełko. Potem znowu na jakiś czas poświata przygasa. Raz jest nieco wyżej, raz niżej.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Nagle za którymś razem dolinę i okoliczne wzgórza rozświetla luna tak silna, że Galego wyraźnie odznacza się na jej tle. Jeśli z tej odległości światło jest tak jasne, jakże musi być silne tam, skąd pochodzi! Zresztą wedle wielu opowieści lokalnych mieszkańców – szczególnie tych, których ponoć „Wężowe Smoki” ścigały – owo światło porównać można do blasku łuku spawalniczego, zwielokrotnionego kilkadziesiąt razy. Potężna smuga biegnie skośnie po niebie, niczym snop z wielkiej, podniebnej lampy. Chwilę później zaś znów wszystko przygasa.

Jakieś 40 minut później po prawej stronie zbocza widzę pojedyncze światełko. Z daleka wygląda jak światło ręcznej latarki z kryptonową żarówką, lecz przecież przez lornetkę przypomina nieco tarczę księżyca, a ponadto znajduje się od naszego punktu obserwacyjnego o co najmniej kilka kilometrów. Światło wykonuje na niebie dziwny taniec, to w górę, to w dół, raz w lewo, raz w prawo. Potem schodzi w dół i gaśnie. Dziś już „Wężowe Smoki” nam się nie ukazą.

O realności „Wężowych Smoków” miałem okazję przekonać się sam. Nieważne czym są – istnieją. Lecz pytanie czym są pozostaje bez odpowiedzi. Czy były to gwiazdy? Z pewnością nie. One poruszają się w zupełnie inny sposób. Czy mogło być to jakieś zjawisko atmosferyczne lub naturalne? Oczywiście nie należy wykluczać i takiego wyjaśnienia. Czy za „Wężowymi Smokami” kryje się działalność człowieka? Nie jest to niemożliwe, Ze względu jednak na sposób poruszania się tych świateł przypuszczam, że możemy mieć tu do czynienia z o wiele większą tajemnicą. Jaką dokładnie? Na to pytanie odpowiedzieć mogłaby tylko starannie przygotowana ekspedycja, z odpowiednim sprzętem, odpowiednią ilością osób, a nade wszystko dysponująca odpowiednimi środkami finansowymi. Nie będę ukrywał, że marzy mi się udział w takiej ekspedycji. Chcę też wyjaśnić, że będę próbował znaleźć sponsorów w Polsce lub za granicą, lecz że nie będzie to zadanie łatwe i że może ono spalić na panewce. Warto jednak próbować, gdyż jest to jedna z największych zagadek Wysp Salomona, a nawet całej ludzkości. Bez względu na to, czym są lub przez co wywoływane są owe tajemnicze światła, kwestia ta aż prosi się o wyjaśnienie. Nawet jeśli to „zwykła” działalność ludzka. Wszak nawet wówczas nie wiadomo, czego szukają tu „Wężowe Smoki”, dlaczego właśnie tu, czym dokładnie są, dlaczego pojawiają się tak regularnie etc. Zadaniem nauki jest ponoć docieranie do prawdy i poznawanie otaczającej nas rzeczywistości. Tymczasem nauka (podobnie zresztą, jak wszelkiego rodzaju „sceptycy”, „pragmatycy” i „racjoniści”) odżegnuje się od tego typu zjawisk, komentując je jako żenadę, dziecinadę lub niewarte uwagi pogłoski i plotki. Ta pełna wyższości, pogardy i protekcjonalizmu postawa przyczynia się do dalszego skostnienia i tak już sztywnego sposobu myślenia większości naukowców, którzy wszak chełpią się otwartością swych umysłów. Sprawy takie jak „Wężowe Smoki” należy badać bezwarunkowo i właśnie z otwartym umysłem. Być może jest to nic nie warty incydent. Być może zaś całkowity przełom. Każda osoba, której istnienie nie ogranicza się wyłącznie do konsumpcjonizmu i której nie cechuje cyniczny racjonalizm, powinna sobie zadawać podstawowe pytania: Kto? Skąd? Czemu? Jak? Dlaczego? Pytania, które stawia sobie ponoć także i nauka. A jeśli tak, to „Wężowe

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Smoki” już od dawna stanowią powinny przedmiot zainteresowania badaczy z głównego nurtu. Tak się jednak nie dzieje. Dlaczego? Być może to kolejna zagadka do rozwiązania. Sam jednak czasem myślę, że kiedy większość ludzi dokoła uważa mnie i ludzi mi podobnych za osoby dziecinne czy dzieciniały, albo za niegroźnych szaleńców lub wreszcie za niewystarczająco trzeźwo myślących – tylko ze względu na dość nietypowe pasje poznawcze – to powiedzenie, iż większość ma zawsze rację niekoniecznie musi być prawdziwe. Równie dobrze to właśnie większość przebywać może w swego rodzaju letargu, z którego być może przebudzić ich potrafi jedynie szokujące i przełomowe odkrycie. Daleki jestem od pełnej megalomanii myśli, iż to ja właśnie takiego odkrycia miałbym dokonać (choć nie przeczę, że byłoby to niezwykle miłe i satysfakcjonujące), uważam jedynie, że jednym ze sposobów na znalezienie odpowiedzi na różne nierozwiązane kwestie – być może jedynym – jest udanie się na miejsce i naoczne przekonanie się o faktycznym stanie rzeczy. Czy dla naukowców o – ponoć – otwartym umyśle to takie niewykonalne zadanie?

Z „Wężowymi Smokami” wiąże się też jeszcze jedna opowieść, która – jeśli tkwi w niej choć ziarno prawdy – potwierdza, że zjawisko to może być czymś znacznie poważniejszym, niż działalność człowieka czy sił przyrody.

Otóż podczas II Wojny Światowej Japończycy wysłali na Guadalcanal siły, liczące kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy. Jeśli zsumować liczbę – choćby tylko przybliżoną – Japończyków zabitych przez Amerykanów, Japończyków zabitych przez miejscowych mieszkańców, Japończyków zmarłych z innych przyczyn i wreszcie Japończyków wziętych do niewoli – to okaże się, że łączna suma jest dużo niższa od pierwotnego stanu liczebnego oddziałów nieprzyjacielskich. Co się stało z pozostałymi Japończykami? Przepadli jak kamień w wodę.

Co więcej, jakiś czas po wojnie wzniesiono pomnik ku czci poległych żołnierzy japońskich (Japanese War Memorial). W pierwotnym kształcie pomnik ten zawierał rzeźbę przedziwnej istoty, niby człowieka, lecz pokrytego łuskami, wyposażonego w ogon, w jednej ręce trzymającego jakieś urządzenie i z palcem wskazującym drugiej wyciągniętym... dokładnie w kierunku „Smoczej Góry”! Nie wiadomo dokładnie, co stało się z pomnikiem. Nasza wycieczka na Mount Austin (na którym to wzniesieniu znajduje się monument) ujawniła, że pomnik został całkowicie zdewastowany i pozbawiony wszelkich metalowych części i tablic. Udało mi się dotrzeć do prezesa stowarzyszenia salomońsko-japońskiego, który wyjaśnił mi, że w swoim czasie grupa bezrobotnych zabrała wszelkie metalowe elementy na złom. Ponoć udało się część z nich odzyskać i wkrótce mają powrócić na swoje miejsce. Czy znajduje się wśród nich dziwaczna rzeźba? Nie wiadomo. Wedle innej teorii rzeźbę wywieziono potajemnie do Japonii, a na jej miejsce ustawiono później zupełnie inną statuetkę – i to tę ostatnią być może sprzedano na złom.

Zresztą kwestia tego, czym naprawdę są „Wężowe Smoki” jest rzeczą drugoplanową. Najistotniejsze jest, że do tej pory nikt nie zadał sobie trudu, by

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

sprawdzić, co dokładnie dzieje się na „Smoczej Górze” i dlaczego. A jeśli nawet ktoś taki się znalazł – to rezultaty poszukiwań są albo mierne, albo z jakichś powodów nie udostępniono ich szerszemu ogółowi. Zwykła ludzka ciekawość, chęć poznania niepoznanego, znalezienia rozwiązania zagadek, odpowiedzi na pytania – powinny być wystarczającym bodźcem dla profesjonalnej wyprawy w te rejony.

Nawiasem mówiąc w roku 1999 w stronę góry Japończycy wysłali oddziały wojska w liczbie ok. 2000. W jakim celu? Tego się nigdy nie dowiemy, gdyż operację przerwała eskalacja napięć etnicznych na Wyspach Salomona, szczególnie pomiędzy mieszkańcami Guadalcanal a mieszkańcami Malaity. Nie bez znaczenia jest także i fakt, że siły wojskowe RAMSI (Regionalna Misja Pomocowa dla Wysp Salomona, ang. Regional Assistance Mission to Solomon Islands) również mają oko na tę górę i kilka razy wysyłały w tamtym kierunku swe śmigłowce. Zbyt dużo poszlak, zbiegów okoliczności, dziwnych zachowań i opowieści, by „Wężowe Smoki” odłożyć na półkę z napisem „bajeczki”.

Jestem zafascynowany ową nocną obserwacją i zadowolony, nie tak bardzo jednak, jak wówczas, gdybyśmy wspięli się na pobliskie wzgórze, z którego widok na tajemnicze światła byłby o wiele lepszy (i bliższy), umożliwiając zrobienie zdjęć czy nagranie filmu wideo. Zdecydowanie ktoś zawinił, a pewne sprawy nie zostały dograne. Zważywszy na fakt, że Ania – ze względu na złe samopoczucie – w ogóle nie wyruszyła z wioski Aruliho oraz że sam nie oglądałem światła z wcześniej ustalonego miejsca obserwacyjnego – spodziewaliśmy się zwrotu przynajmniej części wpłaconych pieniędzy. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Wręcz przeciwnie. Jak się potem okazało, oczekiwano od nas nawet większych kwot. To podważyło nasze dotychczasowe zaufanie do Johna i Mistera T. Byliśmy skłonni pomóc im finansowo, ale to my chcieliśmy decydować kiedy i w jakiej formie tej pomocy udzielimy. Tymczasem 2500 dolarów salomońskich za wejście jednej osoby na niezbyt dużą wysokość i niewielką odległość od wioski (nawet uwzględniając jeszcze koszty transportu) to jednak zbyt wygórowana kwota. Jak się przekonaliśmy, nie był to niestety koniec nieuczciwości Johna i T.

Kolejnego dnia Ania poczuła się źle. Chciałem jednak ją przekonać, byśmy zobaczyli jeszcze inne „Wężowe Smoki”, tym razem pojawiające się nad wodą w okolicy wsi Vila, jakieś 10-15 km od Aruliho. Ostatecznie Ania się zgadza, kolejną zatem noc przyjdzie nam spędzić w Vila, nad samiutkim brzegiem morza.

Do Vila docieramy późnym popołudniem. Jak się okazuje, naszym domem na tę noc miała być jeszcze mniejsza, niż u Johna chatka kryta strzechą z liści palmowych, o przedsionku i korytarzu tak niskich, że nie tylko ja, ale nawet o wiele niżsi ode mnie miejscowi mieszkańcy musieli się schylać. Za łóżko tym razem posłużą nam także położone bezpośrednio na podłodze (tak jak u Johna) materace, tyle tylko, że chyba z czterokrotnie grubszą warstwą brudu. Ponadto w Vila – a na pewno w tym konkretnym domostwie – brak wody bieżącej, o ile więc nie chcemy kąpać się w morzu

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

(a oboje ze względu na stan zdrowia nie możemy) – czeka nas noc bez mycia. Brak tu nawet latryny, toteż wszelkie naturalne potrzeby załatwiać trzeba w „buszowej toalecie”. Nie twierdzę, że uwielbiam takie warunki – jestem od tego bardzo daleki – ale przyjmuję pewne rzeczy takimi, jakie są i zakładam, że tę (w końcu tylko jedną) noc spędzę bez mycia i innych wygod.

Ani jednak takie warunki są wyraźnie nie w smak, tym bardziej, że wciąż czuję się niedobrze tak fizycznie, jak i psychicznie. Udaje mi się jednak przekonać ją, byśmy zostali.

Patrick – który przyjechał z nami, a którego ze wszystkich miejscowych darzę największą sympatią – mówi mi, że tutejsze światła widoczne są w okolicy godziny 20:00. Idziemy więc około kilometr wzdłuż głównej drogi do miejsca na plaży, z którego nic nie zasłania nam widoku na morze.

Nawet Ani spodobało się nocne leżenie na plaży w oczekiwaniu na ewentualny „pokaz”, pomimo faktu, że wieje bardzo mocny wiatr znad lądu.

Nagle jak spod ziemi pojawia się John i oznajmia, że właśnie usłyszał w radiu, iż nad sąsiednią wyspą – Malaitą – szaleje tornado, że na plaży nie jest bezpiecznie i że powinniśmy bezwzględnie wracać do domu. Choć nie jesteśmy do końca przekonani, czy John mówi prawdę, ociągając się wracamy do chaty. John dogania nas nieco później. Problem polega na tym, że czuć od niego wyraźnie alkoholem. Wcześniej tego samego dnia udało mu się wydębic od nas jeszcze więcej pieniędzy – za, jak twierdzi, „ciężarówkę, nocny program i prosiaka”, o którego poprosiliśmy na kolację. Kiedy piszę te słowa jakieś trzy tygodnie później, smakiem prosiaka wciąż możemy się obejść.

Patrick mówi, że jeszcze nie wszystko stracone, gdyż zdarza się, że owe nadwodne światła widywane są też około godziny 2:00-3:00 nad ranem. Odpowiadam, że je chętnie zobaczę. Nie zostałem chyba jednak dobrze zrozumiany, bowiem mocno i twardo śpię do białego rana – budzi mnie dopiero Ania, której coś lata koło ucha. Była to tylko ćma, ale naprawdę woleliśmy za bardzo nie wnikać w to, jakiego rodzaju robactwo zamieszkuje chatę.

Wieczór i noc spędzone w Vila bez podstawowych wygod, z poczuciem bycia wykorzystanym i oszukanym przez Johna, we wciąż nienajlepszym samopoczuciu (szczególnie w przypadku Ani) – przeważały szalę. Na usilne nalegania Ani powracamy do Aruliho, pakujemy swe plecaki i wracamy do Honiary. W drodze z Vila do Aruliho ciężarówka Mistera T łapie gumę, więc trzeba wymienić koło. Naturalnie po przyjeździe do stolicy Mister T nie omieszkał poprosić mnie o pieniądze „za oponę”.

Nie jesteśmy pewni, czy w ogóle jeszcze obdarzyć Johna kredytem zaufania. Właściwie jesteśmy przekonani, że mu się to nie należy. Jest bezsprzecznym faktem, że

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

wykorzystał nas finansowo i że nie wywiązał się prawie w ogóle z przyrzeczonego „programu”. Z drugiej jednak strony nie znam nikogo innego, kto mógłby pokazać mi miejsca i osoby związane z gigantami zawieźć mnie tam.

Ostatecznie decydujemy się jeszcze tego samego dnia powrócić do Honiary i spędzić tam kilka dni. John ma nas odwiedzić i wówczas chcemy się z nim poważnie rozmówić. Na razie, dla dobra Ani, powracamy do cywilizacji. Przez kilka dni nie robimy nic szczególnego, ale podczas naszego pobytu w mieście przydarzają się dwie ciekawe rzeczy.

Jako że z werandy naszego hostelu mamy widok na port, możemy obserwować wpływające i wypływające łodzie i statki. Zazwyczaj są to raczej małe jednostki, przewożące pasażerów (i czasem towary) na sąsiednie wyspy, takie jak Makira, Malaita, Savo, Florida itd. Dostrzegamy jednak, że do portu zawinął olbrzymi statek ze stali, o kilkupiętrowej konstrukcji i z potężnymi dźwigami – jak się później okazało, był to kontenerowiec, którego armatorem była firma z Liberii.

Wieczorem idziemy coś zjeść i napić się najtańszego w mieście piwa do miejscowego Jacht Klubu, miejsca cowieczornych spotkań wielu białych, przede wszystkim zatrudnionych na miejscu Australijczyków, czasem też opływających jachtami Wyspy Salomona turystów. Wszyscy obcokrajowcy mają tu darmowe wejście, lecz muszą wpisać swoje nazwiska do specjalnej księgi. Kiedy i my otwieramy księgę, by – jak już tyle razy wcześniej – wpisać się do niej, przecieramy oczy ze zdumienia. Oto widzimy trzy polskie nazwiska. A więc jednak nawet i tu spotkać można rodaków?

Początkowo nie przyjmujemy tej informacji z zachwytem: pomijając wszelkie inne cele naszego wyjazdu w tak odległe i egzotyczne miejsce, jednym z powodów było również zaszczyt się na jakiś czas z dala od Polaków, Polski i jej problemów, zapomnienie o wszystkim i możliwość dyskusowania na wszelkie możliwe tematy w naszym ojczystym języku bez bycia zrozumianym przez kogokolwiek. Kiedy jednak od przesympatycznego barmana (który zawsze zamieniał z nami kilka przyjaznych słów) owi trzej przybysze z Polski dowiedzieli się, że jesteśmy z ich kraju i zaprosili nas do swego stolika – lody pękły. Okazało się, że Włodek, Janek i Maciek są... marynarzami na tym wielkim statku, który widzieliśmy przy redzie (nawiasem mówiąc, od naszych nowych polskich znajomych dowiedzieliśmy się, że to całkiem mała jednostka, a większe w ogóle nie mieściłyby się w porcie). Byli nie mniej zaskoczeni, widząc nas na drugim krańcu świata, niż my, kiedy dostrzeżliśmy ich nazwiska w księdze. Zaraz zaczęli nas pytać, co w kraju (nie wiedzieliśmy, nie oglądaliśmy telewizji i nie słuchaliśmy radia, poza tym w salomońskich mediach bardzo niewiele informacji dotyczy Europy, a co dopiero Polski), co robimy tak daleko od Polski, skąd jesteśmy itd. Sami opowiedzieli nam o swym marynarskim życiu. Oprócz nich na statku pracowało jeszcze dwóch Niemców i kilkunastu Filipińczyków. Statek pływał pod banderą Singapuru i rozwoził wszelkiego rodzaju towary w kontenerach do

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Papui-Nowej Gwinei, na Wyspy Salomona, Fidzi, Vanuatu etc. Na morzu nasi znajomi spędzą kilka miesięcy, aż do listopada. Najmłodszy, Maciek, był kapitanem, Włodek – głównym mechanikiem, a Janek – głównym elektrykiem. Maciek i Janek pochodzili z Trójmiasta, Włodek zaś – ze Szczecina. Po długiej i ciekawej dyskusji na najrozmaitsze tematy i wypiciu kilku litrów piwa czas było się rozstać. Marynarze musieli wracać na pokład, my zaś czuliśmy się już trochę śpiący i zmęczeni i chcieliśmy położyć się spać. Nasze spotkanie z Polakami okazało się bardzo sympatycznym i naturalnie zupełnie nieoczekiwanym wydarzeniem.

Postanowiliśmy odwdziżyć się Ann i Robertowi za ich zaproszenie na początku naszego pobytu, toteż tym razem to my zaprosiliśmy ich na kolację do Jacht Klubu. O umówionej godzinie pojawiła się Ann – Robert spotykał się ze swoimi znajomymi i miał dołączyć do nas później. Naturalnie Ann, jako obcokrajowiec, nie miała żadnego problemu z wejściem do Jacht Klubu. Kiedy jednak zjawił się Robert, okazało się, że nie posiadając karty członkowskiej nie ma prawa wejść na teren baru i restauracji. Pomimo mojej interwencji i potwierdzenia, że Ann i Robert są małżeństwem zarówno strażnicy, jak i dyrekcja klubu uparli się, by nie wpuścić Roberta do środka. Byliśmy gotowi wyjść, ale już wcześniej zamówiliśmy naszą kolację i zapłaciliśmy za nią, chcieliśmy więc postawić na swoim. Ostatecznie, gdy przycichł cały harmider, a wokół nas zostały już tylko trzy osoby – uzgodniliśmy, że nikt o niczym nie wie, a Robert po cichu wejdzie na teren, że szybko zjemy i wypijemy, a następnie wyjdziemy.

Na naszą niekorzyść przemawiał fakt, że Robert miał już za sobą kilka piw, toteż nie zachowywał wystarczającego spokoju. Ostatecznie jednak udało nam się zasiać spokojnie do kolacji.

Podczas posiłku Robert opowiedział mi niezwykle ciekawą rzecz z punktu widzenia mych badań. Fakt, że był pod pewnym wpływem alkoholu może oczywiście podważać wiarygodność tej historii, z drugiej jednak strony być może właśnie dzięki temu Robertowi otworzyły się usta i powiedział to, co długo trzymał w sobie. Otóż przyznał się nam, że przed poślubieniem Ann miał inną żonę, pochodzącą z wyspy Makira, oddalonej o kilkadziesiąt kilometrów na południowy wschód od Guadalcanal (sam pochodzi z ludu Kwaio, zamieszkującego wyspę Malaita na północny wschód od Guadalcanal). W związku z tym przez jakiś czas mieszkał na Makirze. Jak twierdzi, kilka razy w nocy, w środku dżungli, słyszał dziwne, niemal dziecięce głosy oraz widział odciski niewielkich stópek. Nie można rzecz jasna wykluczyć, że były to po prostu dzieci (choć trudno dociec, co dzieci, nawet miejscowe, mogłyby robić w gęstwinie dżungli nocą), kiedy jednak weźmie się pod uwagę wszechobecne i bardzo silnie zakorzenione na Makirze opowieści o „kakamoro”, czyli „małych ludziach”, zamieszkujących tutejsze jaskinie w tropikalnym interiorze, to można zadać sobie pytanie, z czym naprawdę miał styczność Robert. Podobnie jak w przypadku „Wężowych Smoków” daleki jestem od upartego twierdzenia, że mamy do czynienia z jakąś cywilizacją z innej planety czy innych wymiarów. Być może wyjaśnienie zagadki „małych ludzi” jest o wiele bardziej prozaiczne i chodzi tu na przykład

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

o nieznaną jeszcze nauce rasę, czy gatunek człowieka. Wedle opisów „kakamoro” są jeszcze niżsi od zamieszkujących zachodnią Afrykę Pigmejów i liczą sobie 100-120 cm wzrostu. Podobnie jak w przypadku światła na Guadalcanal kwestia tego, czym w istocie są „mali ludzie” jest drugorzędna. Najistotniejsze jest zbadanie, czy za tradycyjnymi, pełnymi mistycyzmu i lokalnych wierzeń opowieściami może kryć się jakaś ukryta, nieznaną nikomu rzeczywistość. I podobnie jak w przypadku światła znad Guadalcanal, tu także jedynym sposobem przekonania się o tym byłaby w pełni zorganizowana i przygotowana ekspedycja w rejon, o których mieszkańcy Makiry tradycyjnie twierdzą, iż zamieszkane są przez owe małe istotki.

W oczekiwaniu na Johna robimy sobie wycieczkę na Mount Austin, wzgórze niedaleko Honiary, któremu Amerykanie podczas wojny nadali numer 35. W jego bezpośredniej okolicy, na nieco mniejszym wzniesieniu, znajduje się Pomnik ku Czci Japońskich Żołnierzy (Japanese War Memorial). Według słów Mariusa Boirayona, ów monument „jest jedyny w swoim rodzaju. Większość z pomników wojennych, jakie znam ma coś wspólnego z żołnierzami, działami, poległymi itp. Nie ten! Znajduje się na obszarze o wymiarach ok. 30 x 10 metrów. Na zachodnim krańcu stoją cztery wielkie, pozbawione napisów marmurowe ściany, które powinny pokrywać inskrypcje, po północnej stronie zaś rośnie rząd drzewek wiśniowych, które z trudem mogą przetrwać w tropikalnych warunkach. Jedyne napis, jaki można tu odnaleźć, dotyczący znanego japońskiego rzeźbiarza, mieści się u podstawy wykonanej z brązu statui, przedstawiającej na wpół ludzką istotę, pokrytą łuskami, trzymającego coś, co przypomina miotacz promieni, przymocowany do końca jego długiego ogona. Ów wojowniczy, niczym z serialu „Star Trek” pół-człowiek, pół-gad ma bardzo stanowczy wyraz twarzy, w prawej ręce trzymając owo dziwne urządzenie przypominające miotacz promieni i przytwierdzone do ogona, lewą zaś wskazując w kierunku zachodnim. Co bardzo interesujące, kiedy poprowadzę prostą w kierunku, w którym wskazuje, to okazuje się, że z jakiegoś powodu wiedzie ona wprost do „Smoczey Góry” w północno-zachodnim Guadalcanal”.

Nic dziwnego, że po takim opisie wspinaczka na górę Austin staje się wręcz obowiązkowa. Trudno przepuścić taką okazję – pomimo faktu, że wedle mej najlepszej wiedzy po owej dziwacznej rzeźbie dawno już nie ma śladu.

Okazuje się, że na wierzchołek wiedzie szeroka, asfaltowa droga. Ogarnięci wakacyjnym lenistwem i biorąc pod uwagę lejący się z nieba żar, postanawiamy zatem udać się na miejsce taksówką. Kiedy dojeżdżamy, oczom naszym ukazują się istotnie strzeliste, białe płyty z marmuru. Ustawione są tak, że w rzucie pionowym tworzą krzyż o regularnych ramionach. U frontu umieszczono również biały postument. Jeszcze jeden cokół stoi w niewielkim oddaleniu, w południowo-wschodnim narożu. Niestety, całość robi przygnębiające wrażenie: już dawno nie ma śladu nie tylko po jakiegokolwiek rzeźbie, lecz także po wszelkich płytach i innych elementach, wykonanych z metalu. Postumenty i marmurowy pomnik z płyt upstrzone są graffiti.

Całość wygląda na bardzo zaniedbaną. Nie daje mi to spokoju: jak do tego doszło? Gdzie są napisy i płyty? No i najważniejsze: co stało się z rzeźbą?

Schodzimy (już tym razem na piechotę) z góry. Podczas gdy Ania wraca do hotelu, sam udaję się do biura informacji turystycznej, aby zasięgnąć jakichkolwiek informacji na temat losów pomnika. Kierują mnie do pobliskiego luksusowego Hotelu Mendana, w którym pracuje prezes Towarzystwa Salomońsko-Japońskiego, Francis Deve. Udaje nam się zamienić kilka szybkich słów: spieszy się akurat na jakieś spotkanie. Przyjmuje mnie jednak bardzo uprzejmie, informując, że kilka miesięcy wcześniej grupa bezrobotnych, próbując zarobić pieniądze, wymontowała wszelkie metalowe części, próbując sprzedać je na złom. Ponoć przynajmniej niektóre elementy udało się odzyskać i mają zostać na powrót zamontowane na kamiennych cokołach. Co jednak dzieje się z rzeźbą – nie wiadomo. Zaintrygowany, proszę pana Deve o informacje (i możliwe zdjęcia), kiedy już dojdzie do uroczystości ponownego zamontowania tablic (i rzeźby?). Mam jednak wrażenie, że nie wie on zbyt wiele o rzekomym pierwotnym pomniku, jaki stał na wzgórzu, a o którym pisze Boirayon. Po powrocie do Polski przeszukuję Internet i znajduję informacje, potwierdzające, że rzeźba, którą ponoć skradli bezrobotni i rzeźba z opisu Australijczyka to dwa różne przedmioty. Zdjęcie pomnika sprzed kradzieży (z roku 2000), jakie udało mi się znaleźć na stronie http://www.pacificwrecks.com/provinces/solomons_guadalcanal_hill35.html, pokazuje statwę rybaka, który obie ręce ma opuszczone i pozbawiony jest jakiegokolwiek „ogona”. Albo zatem Boirayon opisuje nieprawdę, albo też mamy tu do czynienia z kolejną nierozwiązaną tajemnicą, a sprawa jest o wiele poważniejsza, niż się to z pozoru wydaje. Pozostaję w korespondencji z Johnem Innesem, Anglikiem, który od czasu wojny mieszka na Guadalcanal i który specjalizuje się w wojennej i powojennej historii wyspy i kraju oraz ochroną wraków statków, samolotów i miejsc pamięci. Być może on będzie miał na temat rzeźby jakieś informacje. Mam zamiar skontaktować się także z Chrisem i przedstawić mu wyniki swych dociekań. Co ciekawe, gazeta The Sydney Morning Herald z 28 stycznia 2008 roku poinformowała w swym artykule o fali kradzieży metalowych przedmiotów (w tym nawet niewypałów i niewybuchów!) w celu ich sprzedaży na złom. Artykuł dotyczy skradzionej rzeźby, którą złodzieje porzucili w pół drogi ze względu na jej ciężar, a która przedstawiała... „człowieka z łuskami, trzymającego strzelbę”. Czyżby więc mowa była o tej samej statui, o której wspomina Boirayon? Czemu zatem zamieszczona na powyższej stronie internetowej rzeźba reprezentuje coś zupełnie innego?

Będąc w Honiarze postanawiamy też odwiedzić lokalny ogród botaniczny. Jak okazuje się na miejscu, jest to praktycznie rzecz biorąc fragment dziewiczej puszczy salomońskiej w pobliżu miasta, dostosowany dla turystów poprzez przygotowanie specjalnych ścieżek o trzech stopniach trudności. Cały spacer po ogrodzie botanicznym to mniej więcej godzinny spacer wśród niezwykle bujnej zieleni setek drzew, krzewów i traw, których nazw w większości możemy się tylko domyślać lub których w ogóle nie znamy. Tutaj też znajduje się specjalny „dom orchidei” – Wyspy Salomona słynne są

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

z kilkudziesięciu różnych odmian tych kwiatów – lecz ze względu na zniszczenia, wywołane tornadami i tsunami obecnie dopiero od podstaw hoduje się te kwiaty.

W ogrodzie botanicznym po raz pierwszy od przyjazdu zmoczył nas gęsty, rzęsy deszcz. Do tej pory mieliśmy szczęście i za każdym razem, gdy padało, znajdowaliśmy się pod jakimś dachem.

Pozostały czas spędzony w Honiarze wypełnia nam kupowanie prezentów i pamiątek. Udajemy się też z nimi do lokalnego urzędu ds. kwarantanny – za 80 dolarów salomońskich wystawią nam zaświadczenie i spryskają niektóre z przedmiotów specjalnym środkiem owadobójczym. Wystawiony dokument i tak okaże się potem całkowicie nieprzydatny w Australii...

Zgodnie ze swą obietnicą zjawia się w końcu (choć naturalnie spóźniony) John Maeli – w towarzystwie Mistera T, którego Ania ma poważne powody darzyć sporą antypatią.

Proponuje nam kolejny „program”. Tym razem mamy wynajętą łodzią popłynąć na wschodni kraniec Guadalcanal, nad zatokę Marau, gdzie Ania będzie mogła cieszyć się upragnioną plażą i morzem, podczas gdy ja mam popłynąć dalej, na południowe wybrzeże wyspy, znane jako Weathercoast, a stamtąd udać się na dwa dni do dżungli, by tam spotkać się z ludźmi, którzy mieli ponoć bezpośrednią styczność z gigantami, posiadają ich włosy lub zęby, a także widzieli odciski ich stóp. Ponadto istnieje tam ujście tunelu, jakim podróżują „Wężowe Smoki”.

Kiedy jednak rozmowa schodzi na kwestie finansowe, John nie jest już taki pewny siebie. Najpierw proszę go o przedstawienie szczegółowego zestawienia, które wyjaśniłoby, w jaki sposób wydał pieniądze, jakie mu zapłaciliśmy. Z początku brzmi wiarygodnie, później jednak zaczyna coraz bardziej plątać się w obliczeniach. Widać, że nie potrafi dokładnie wytłumaczyć rzekomych wydatków, kilka kosztów nalicza dwukrotnie, starając się nas przekonać, że jeszcze jesteśmy mu wini jakieś kwoty.

Po drugie wychodzi na jaw, że podróż do Marau to bardzo duży wydatek: w sumie przekraczał on 10 tysięcy dolarów salomońskich (około 3000 złotych). Dużą część kosztów pochłania paliwo (i w tym jednym John nas nie oszukał, gdyż ceny paliwa na Wyspach Salomona są niezwykle wysokie) i wynajem łodzi. Ponadto okazuje się, że jedyny porządny hotel w Marau jest jednym z najbardziej ekskluzywnych – a więc najbardziej kosztownych – miejsc; za jedną noc pobierają tam opłatę w wysokości 1200 dolarów salomońskich od osoby! Musimy więc przede wszystkim rozważyć, czy w ogóle stać nas na taką eskapadę.

Ania wyraźnie nie jest zadowolona, nawet pomimo faktu, że miałaby swą upragnioną plażę i pływanie. Gdy rozmowa schodzi na tematy finansowe, nie

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

wytrzymuje i wychodzi. Przekonuję Johna, że dziś i tak nic nie wskóramy i nie postanowimy i żeby przyszedł jutro.

W tym czasie oboje z Anią dochodzimy do wniosku, że jeśli mamy jeszcze w ogóle współpracować z Johnem, to na naszych warunkach. Po pierwsze pieniądze mają pójść bezpośrednio do rąk osób, od których będziemy wynajmować łódź i kupować paliwo. Po drugie ustalamy, że nie płacimy ani centa więcej powyżej pierwotnie ustalonej stawki. Po trzecie zaś połowę pieniędzy dajemy od razu, połowę natomiast po realizacji „programu”. Jeśli John przystanie na takie warunki – jesteśmy skłonni z nim pojechać.

Nazajutrz jednak John się nie zjawia. Może zresztą pojawił się, lecz nas nie zastał, a widząc, że nie ma nas w hostelu – wyszedł bez słowa. Dziwne, bo wcześniej na każdym kroku natykaliśmy się w mieście na niego, Mistera T albo jednego z sąsiadów lub członków rodziny. Teraz zaś przepadł jak kamień w wodę, nie zwracając nawet pieniędzy, które wcześniej ode mnie „pożyczył” (na szczęście nie była to zbyt duża kwota).

Rozczarowani i wściekli postanawiamy zignorować Johna, Mistera T i ich „koleżków” i ułożyć swój własny „program”. Nie zamierzamy przesiedzieć ostatnich 11 dni w Honiarze. Skoro perspektywa badań nad dziwnymi i niewyjaśnionymi zagadkami Wysp Salomona tak gwałtownie się oddala, lepiej poświęcić ten czas na relaks i wypoczynek, niż kręcić się w kółko i przebywać w nieciekawym mieście.

Już nazajutrz załatwiamy łódź na pobliską wyspę Savo – miejsce weekendowych wypadów tak turystów, jak i lokalnych mieszkańców – oraz wykupujemy bilety lotnicze na oddaloną o setki kilometrów na zachód wyspę Gizo w Prowincji Zachodniej, tę, przez którą w roku 2007 przetoczyło się tsunami, a która i wówczas, i teraz jest jednym z najbardziej wśród turystów popularnych kierunków. Mamy tylko nadzieję, że sytuacja się nie powtórzy, no i że zdążymy powrócić do Honiary przed naszym odlotem do domu.

Najpierw jednak po południu udajemy się do biura informacji turystycznej, skąd odwożą nas do znanej już nam wioski Vila. Tam przesiadamy się do wykonanej z włókna szklanego łodzi, która po około 25 minutach powinna bezpiecznie przywieźć nas do hotelu Sunset Lodge na wyspie Savo. Istotnie wszystko potoczyło się zgodnie z planem, choć oczywiście z niejakim opóźnieniem (czyli według czasu salomońskiego). Nie spodziewaliśmy się jednak, że morze – przynajmniej od strony Guadalcanal – będzie tak wzburzone. Raz po raz napędzana spalinowym, mocnym silnikiem łódka, mimo, że – oprócz naszych plecaków – zapakowano do niej całą masę towarów, podskakuje niczym papierowy stateczek, a wraz z nią podskakujemy i my, spadając na twardą deskę drewnianej ławki. I choć bliżej Savo morze wyraźnie się uspokoiło, przypominając wręcz taflę spokojnego jeziora, to skutki tej podróży odczuwamy z Anią do dziś.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Po wyjściu na brzeg wysiadamy z łodzi. Witają nas pracownicy hotelu Sunset Lodge dorodnymi kokosami, udekorowanymi barwnymi kwiatami. Sączymy przez słomkę chłodny, kokosowy nektar, a życie nabiera nowego smaku. Zamawiamy kolację, a potem wylegujemy się beztrosko w hamakach.

Kolejnego dnia wyruszamy obserwować nogale. Te zamieszkujące wyspy Pacyfiku ptaki, których zresztą istnieje bardzo wiele rodzajów i gatunków, charakteryzują się tym, że swe jaja zagrzebują głęboko w ziemi, kompoście lub źródłach termalnych, a po wykluciu się młodych nie interesują się nimi – pisklęta praktycznie od urodzenia zdane są na siebie i w ciągu jednego do kilku dni umieją biegać i latać.

Miejsce, w którym żerują i składają swe jaja nogale podzielone jest na dwie strefy. W jednej dzikie ptaki zachowują się we właściwy sobie sposób, wygrzebując w piasku głębokie jamy, do których składają swe niemal dwukrotnie większe od kurzych jaja. Drugą część, oddzieloną od tamtej płotem z liści palmowych, stanowi arenę aktywności ludzkiej. Lokalni mieszkańcy wykonują pracę odwrotną do ptasiej: nisko schyleni lub na leżąco wykopują z jam jaja, które później sprzedają (po 6 dolarów salomońskich za sztukę) lub przeznaczają do własnej konsumpcji. Naturalnie nie omieszkaliśmy spróbować tego specjału. Smakiem przypominają właściwie jaja kurze, jedyna różnica to ta, że wewnątrz cieniutkiej warstewki białka znajduje się potężne żółtko.

Drugą część dnia spędzamy na pływaniu w spokojnych, stalowo-niebieskich wodach oceanu. Morze jest tu tak spokojne, że bez strachu oddalamy się o kilkaset metrów od brzegu. Odkrywam także uroki snorkelingu (pływania z maską i fajką), z tym że ponieważ nie mam odpowiedniego sprzętu, za maskę służą mi zsunięte na nos okulary, a zamiast oddychać z fajką po prostu wstrzymuję oddech i kładę się nieruchomo na powierzchni słonej wody, która sama mnie unosi. Widzę na niedalekim dnie wielobarwne koralowce, pomiędzy którymi przemykają wszelkiego kształtu, barwy i rozmiaru rybki: w żółto-granatowo-czarne paski, całkiem niebieskie, szaro-czarne... Nie znam ich nazw, ale nie przeszkadza mi to w kontemplacji morskiego dna.

Przez resztę dnia leniuchujemy, to pływając w morzu, to wylegując się na hamaku. Pogoda jest przepiękna, świeci gorące słońce, a nam się nigdzie nie spieszy...

Drugiego dnia pobytu w Sunset Lodge płyniemy najpierw w stronę „szkółki delfinów”, miejsca, gdzie te sympatyczne morskie ssaki gromadzą się w większe grupy. Już po chwili widzimy ich stalowoszare grzbiety, śmigające tuż pod powierzchnią, a potem radośnie wyskakujące z toni po to, by za moment znów się zanurzyć. Okrążamy łodzią delfiny, by skupić je w ciaśniejszą gromadkę. Pływamy tak przez jakieś 15-20 minut. Potem zaś odpływamy w stronę brzegu z innej strony wyspy. Stąd zaczyna się wspinaczka na wulkan, który utworzył Savo. Jak mówi nasz przewodnik, ostatnia erupcja miała tu miejsce około roku 1860.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Początkowo trasa jest banalnie łatwa i trudno ją nawet nazwać wspinaczką. Nachylenie terenu jest minimalne, a szlak wiedzie wzdłuż wyschniętego koryta rzecznoego, którego dnem spływa teraz jedynie wąski strumyczek, nigdy nie docierając do morza. Jak nas jednak zapewnia przewodnik, w porze deszczowej tworzy się tu całkiem potężna rzeka.

Po przejściu kilkuset metrów wkładam rękę do strumyka: woda jest wyraźnie ciepła, jednak przyjemna. Zielonkawe zakwity na okolicznych kamieniach wskazują na dość dużą zawartość siarki.

Wyżłobiony przez lawę i wodę wąwóz zaczyna się zwężać, a leniwie płynący strumyczek niemal niedostrzegalnie zmienia się w potok coraz bardziej wartkiej wody. Ponownie wkładam rękę do strumienia. Choć wciąż można wytrzymać, temperatura wody jest zauważalnie wyższa.

Od wyschniętego koryta rzecznoego, którym dotychczas szliśmy, odbija w prawo szlak, wiodący wprost na szczyt wulkanu. Tu już zaczynają się – dosłownie i w przenośni – schody. Łatwy dotychczas spacer staje się coraz poważniejszą wspinaczką (w ruch idą nasze górskie kijki) po kamieniach. Kluczymy po skałach, przeskakując z jednego brzegu strumienia na drugi. Wzrost temperatury już daje się odczuć: moje ubranie zaczyna być całkiem mokre. W pewnym momencie, doszedłszy już na dość słuszną wysokość, oglądamy kaskady wody, z których unoszą się kłęby pary. Przebijają się przez nie promienie słoneczne, tworząc niesamowitą, mglielno-świetlną zasłonę. Lecz to jeszcze nie kres naszej wędrówki.

Wzrastająca temperatura wody, lejący się z nieba słoneczny żar i parna duchota otaczającej nas dżungli sprawiają, że moje szorty wyglądają dosłownie tak, jak gdyby przed chwilą wyjęto je z pralki – kapie z nich woda, a raczej pot. Nie inaczej przedstawia się moja koszulka. I choć Wyspy Salomona – nawet podczas czy po deszczu – są ciepłe czy wręcz gorące, to jednak nigdy jeszcze nie odczułem na własnej skórze tak zmasowanego ataku wysokich temperatur i wilgoci. Na szczęście tym razem wzięliśmy ze sobą wystarczająco dużo płynów, by się nie odwodnić.

Szlak wiedzie po coraz większych, coraz bardziej stromych głazach, a w kilku miejscach – tak jak to było w przypadku Mataniko – musimy trzymać się uwiązanych mocno lian, by nie spaść. Pomny swych doświadczeń boję się, czy liana wytrzyma mój ciężar. Na szczęście w obie strony wytrzymała.

Skały stają się teraz tak strome, a nurt niemal już wrzącej wody tak wartki, że ciężko się wchodzi bez przytrzymywania się kamieni. Jest to już jednak na tej wysokości niemożliwe, gdyż kamienie także rozgrzane są tu do wysokiej temperatury. Jak tłumaczy nam przewodnik, czasem przychodzą tu miejscowi mieszkańcy, by zagrzebując żywność w miękkim tufie lub zanurzając ją w wodzie coś sobie ugotować.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Po paru krokach istotnie widzimy skalne „kieszzenie”, w których co i rusz bulgocze wrzątek. Jeśli istnieje piekło, być może tak właśnie wygląda: wieczna tułaczka wśród nie dającego się wytrzymać upału i zaduchu.

Z wulkanicznego piekła czas wracać do czekającego nas małego rajku Sunset Lodge. Marzę o zimnym piwie, a wcześniej o co najmniej zanurzeniu nóg w morzu. Odczuwam ulgę, kiedy schodzimy na mniejszą wysokość. Temperatura wody maleje, 80 stopni, 60 stopni, 40 stopni, w końcu znów można śmiało włożyć dłoń do nienackiego w oczach strumyczka. Noga za nogą idziemy ku wybrzeżu. Wreszcie znów widzimy błękit oceanu. Serce bije radośniej, a ja mogę znów brodzić w zalewającej i tak mokre od potu szorty wodzie. Po jakichś 15 minutach przybywa łódź i odwozi nas do hotelu, gdzie w kilkanaście sekund wychylam puszkę zimnego SolBrew. Och, co za raj! Trzeba było przejść przez piekło, by go docenić!

Gdy już odpoczęliśmy i zjedliśmy posiłek, znów oddaliśmy się słodkiemu hamakowemu nieróbstwu oraz pływaniu w spokojnym oceanie.

I tak oto, zanim się spostrzegliśmy, trzeba było wracać na Guadalcanal, tym bardziej, że następnego dnia, bardzo wcześnie rano, mieliśmy samolot na Gizo. Za dwudniowy pobyt w Sunset Lodge, przewodników, transport na i z wyspy, transport lokalny, zakwaterowanie, wyżywienie, piwo i zimne napoje dla dwóch osób zapłaciliśmy niecałe 2700 dolarów salomońskich – o ileż mniej od sugerowanych „programów” Johna. Więc jednak można.

Nazajutrz niezwykle wczesna pobudka o 4:30 w nocy. Myjemy się i ubieramy, zjadamy jakieś herbatniczki i zamówioną taksówką (która przyjechała – zgodnie z czasem salomońskim – o kwadrans później) wyruszamy na krajowe lotnisko, skąd o 7:30 rano mamy lot na Gizo. Na lotnisku musimy być jednak już o 6:30.

Gdy przybywamy, jest kilka minut po 6:00 rano. Oczom naszym ukazuje się hala, przypominająca niektóre kolejowe hale dworcowe w co mniejszych polskich miasteczkach. To właściwie bardzo duży barak z od lat nie używanymi wiatrakami, upstrzonymi przykurzonymi pajęczynami. Przy stoiskach odprawy bagażowej dwie przedpotopowe wagi. Barak zamknięty jest na cztery spusty (a właściwie na kłódkę), lecz niedługo potem zostaje otwarty.

Oprócz nas nie ma nikogo. Kręcą się jeszcze jacyś miejscowi, ale nie wchodzą do budynku. Wkrótce potem zjawia się para Szwajcarów. Zaczynamy z nimi rozmawiać, ale okazuje się, że ich lot wcale nie jest o 7:30, tylko o 7:00 i że nie lecą do Gizo, lecz do Mundy. Zaniepokojony pytam się obsługi lotniska o co chodzi, na co dostaję odpowiedź, że nasz lot został przesunięty i że odprawa na Gizo zaczyna się... o 9:20! A zatem mogliśmy jeszcze pospać całe trzy godziny! Naturalnie nie jesteśmy zachwyceni tą informacją, na szczęście jednak mamy dużo czasu i nie spieszy nam się

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

bardzo. Mogło przecież być gorzej: mogli odwołać lot zupełnie, co zdarza się ponoć całkiem często. A tak, mieliśmy jedynie znów do czynienia z czasem salomońskim...

Ostatecznie rzeczywiście gdzieś tak około 9:30 zaczyna się odprawa biletowa bagażowa. Najpierw na starych wagach strzałkowych ważone są nasze bagaże, a potem... każdy pasażer wraz z bagażem podręcznym także musi wejść na wagę. Być może chodzi o równomierne rozłożenie ładunku, a być może ci z pasażerów, którzy przybędą za późno nie wejdą na pokład, bo stanowiliby wraz ze swymi torbami dodatkowe, za duże obciążenie...

Kiedy w końcu wchodzimy na pokład samolotu, wiemy już, czemu ważony jest każdy dekagram. Przed nami bowiem lot starym, trzydziestoletnim, wysłużonym De Havillandem typu Twin Otter, mogącym pomieścić raptem 19 pasażerów...

Z miejsca, w którym siedzę, mam doskonały widok na kabinę pilotów, która nie jest oddzielona żadnymi drzwiami. Po raz pierwszy mam okazję obserwować pilotów podczas startu, lotu i lądowania. Jednak prawdziwie interesujące widoki roztaczają się pod nami. Wpierw widzimy z góry drogę, którą już tyle razy przemierzaliśmy: z Honiary na zachód Guadalcanal. Potem możemy podziwiać całą wyspę Savo. Później zajęci byliśmy obserwacją prusaka, który jak gdyby nigdy nic spacerował sobie po pokładzie, aż wszedł na marynarską czapkę jakiegoś Salomończyka i tam już pozostał. Kiedy jednak pod nami zaczęły się pojawiać pierwsze maleńkie, bezludne wysepki, pierwsze turkusowe laguny i koralowe rafy, pierwsze załamujące się na tych rafach fale – wiedzieliśmy już, że Gizo musi być niedaleko. I rzeczywiście, może po 20-30 minutach lądowaliśmy już na pasie lądowiska na wyspie, której nazwy nawet nie poznaliśmy. Budynek lotniska to bryła jeszcze mniejsza od tej w Honiarze, ale i tak nie zwracamy na nią uwagi. Bierzemy swe plecaki (które obsługa samolotu kładzie bezpośrednio na trawie) i idziemy na molo, by tam poszukać łodzi, która mogłaby nas zabrać na główną wyspę, do miasta Gizo. Na szczęście sympatyczny Australijczyk, który wraz z nami godzinami oczekiwał na lot w Honiarze i który pracuje w pionie cywilnym RAMSI jako koordynator procesu unowocześniania służby więziennej w kraju, zabrał nas wraz ze sobą.

Z ciężkimi plecakami szukamy hostelu o nazwie Rekona. W końcu udaje nam się go znaleźć. Przez resztę dnia odpoczywamy.

Nazajutrz bierzemy taksówkę na drugi kraniec wyspy, na plażę Seraghi. To białozłoty pas plaży, piasek, który wchodzi głęboko w morze. Nad nami szumią palmy, po piasku zwiewają gdzie pieprz rośnie maleńkie krabiki-pustelniki w swych malusieńkich muszelkach, które raz na jakiś czas zrzucają, w miarę jak rosną. Jesteśmy w rajku. Nie wiemy tylko, jak mamy się przebrać do kąpieli, gdyż otacza nas natychmiast chmara okolicznej dzieciarni, która z wielką uwagą przygląda się każdemu ruchowi dwojga „białasów”. Wszak niecodziennie zdarza się, by przybywał tu ktoś z tak daleka. Ostatecznie dzieci się nudzą i rozchodzą się, każde w swoją stronę, a my

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

możemy w końcu zażyć cudownej kąpeli w turkusowo-błękitno-stalowych wodach oceanu.

Zarówno w drodze na plażę, jak i w drodze powrotnej mamy możliwość obserwować pozostałości zniszczeń, jakich rok temu dokonało tu tsunami: powalone całe połacie drzew, zniszczone domy. O ile jednak w tamtą stronę (i podczas całego pobytu na plaży) przyświeca nam złote słońce, w drugą stronę, tuż po naszym wejściu do taksówki, na plażę i dżunglę spada ulewa tak rześista, że zamiera całe życie, a wycieraczki w pojeździe muszą pracować pełną parą. Nawiasem mówiąc, kierowca bez żadnego stresu pociąga sobie z puszki piwo, najpierw jedno, potem kolejne...

Kolejny dzień to bardzo ważna chwila dla Ani. Po raz pierwszy będzie mogła wreszcie zrealizować swe marzenie: pobierze pierwszą w życiu lekcję nurkowania. Jeśli jej się spodoba, być może postanowi kontynuować naukę.

Aby odbyć lekcję, udajemy się do prowadzonego przez Danny'ego Kennedy'ego ośrodka po zachodniej stronie miasta.

Danny to bardzo interesująca i barwna postać. Ten Amerykanin 25 lat temu przybył na Wyspy Salomona jako globtroter. Tak bardzo zakochał się w tym kraju, że postanowił zostać i otworzył swój ośrodek sportów wodnych (nurkowanie, snorkeling, pływanie, łowienie ryb, narty wodne etc.), który prowadzi wraz ze swą australijską żoną (<http://www.divegizo.com>). Współpracował ze słynnym badaczem głębin, zatrudnionym przez National Geographic, Doktorem Robertem Ballardem, gdy ten poszukiwał szczątków łodzi patrolowej PT-109, zatopionej na Wyspach Salomona w sierpniu 1943 roku, na której porucznikiem był wówczas młodziutki przyszły prezydent Stanów Zjednoczonych, John F. Kennedy. Wówczas to japoński niszczyciel Amagiri wpadł na łódź Kennedy'ego, rozbijając ją w drzazgi. Szczątki łodzi dryfowały na południe i w końcu zatoniły. Część załogi, która się uratowała (w tym J.F. Kennedy, który zresztą sam ocalał wielu ze swych kolegów) zaczęła płynąć na południe, aż dotarła do brzegów malusieńkiej wysepki, przez miejscowych zwanej Plum Pudding Island, lecz odtąd znacznie lepiej znanej jako Kennedy Island. Przez sześć dni ocalała załoga żywiła się kokosami, aż ostatecznie dwóch lokalnych mieszkańców, pełniących rolę obserwatorów i strażników wybrzeża – Biuku Gasa i Eroni (Aaron) Kumana – odnalazło rozbitków i zaniósł napisaną przez Kennedy'ego na skorupie kokosa wiadomość do najbliższej siedziby sił sprzymierzonych, dzięki temu inicjując akcję ratunkową.

Danny zaangażowany jest w ochronę plaż i raf koralowych Wysp Salomona i jest współtwórcą akcji oczyszczania tychże. To z nim właśnie Ania będzie miała przyjemność poznawać pierwsze tajniki nurkowania. Ponieważ sam jestem zdecydowanie „zwierzęciem lądowym”, a ponadto pewne warunki fizyczne uniemożliwiają lub utrudniają mi nurkowanie, zostanę ze sternikiem na pokładzie łodzi i będę fotograficznie dokumentował postępy Ani.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Najpierw czeka Anię krótka część teoretyczna, dotycząca oddychania w wodzie pod ciśnieniem, sygnałów, używanych przez nurków etc. Potem zabieramy sprzęt i wypływamy w morze. Początkowo na płytkiej wodzie, aby można było przyzwycząć się do butli, tlenu, stroju, oddychania etc. Okazuje się, że Ania jest bardzo pojętną uczennicą i choć – jak potem powiedział mi Danny – z początku była dość powolna, to po pewnym czasie zrozumiała o co chodzi i szybko zaczęła prawidłowo oddychać i wykonywać prawidłowe ruchy. W związku z tym po pewnym czasie Danny zabrał ją na 13 metrów, co jak na pierwsze w życiu nurkowanie było bardzo dużą głębokością! Wedle opisów Ani podwodnych widoków nie da się do niczego przyrównać. Barwne rafy, wszelkiego rozmiaru, koloru i kształtu ryby, olbrzymie morskie żółwie... Na swój sposób zazdroścę jej, lecz pomimo wszystko zdaję sobie sprawę, że nurkowanie chyba jednak nie jest dla mnie. Zdecydowanie wolę już wypocić z siebie całą wilgoć, wspinając się po stromych i śliskich szlakach w dżungli, niż zejść choćby tylko dwa metry pod powierzchnię wody...

Zadowolona i szczęśliwa, Ania w końcu wynurza się na powierzchnię. Już wie, że w przyszłości będzie chciała kontynuować naukę, tak teorię, jak i praktykę. Resztę dnia spędzamy na werandzie przed naszym pokojem.

Kolejnego dnia pobytu na Gizo bierzemy łódkę na Wyspę Kennedy'ego. Chcemy obejrzeć miejsce, niedaleko którego rozbił się przysłyły prezydent USA. Okazuje się, że wysepka jest tak maleńka, iż można ją obejść dookoła w 5-10 minut! Przekonujemy się też, że będziemy mieli tu kłopoty z pływaniami, albowiem głębiny od wybrzeży wysepki oddziela pas płycizn, upstrzonych twardymi i ostrymi koralowcami, chodzenie wśród których może się zakończyć otarciami i skaleczeniami, nie mówiąc już o potencjalnym zniszczeniu samych koralowców. Zamiast więc pływać, brodzimy po kolana w wodzie, obserwując życie raf. Ciekawskie pasiaste rybki okrążają nas bliźutko, wcale się nie bojąc. Biały piasek plaży, szumiące drzewa z piszczącym gdzieś pod niebem orłem, koralowe rafy, szum wiatru i morza... Czyż nie byłoby wspaniale choć na jakiś czas przenieść się tutaj i uciec od wszechobecnego zgiełku, pospiechu i zajmowania się rzeczami, które w istocie nie mają większego znaczenia? Niestety, marzenia są piękne, lecz skrzecząca rzeczywistość wdziera się coraz mocniej do naszej świadomości. Jutro odlatujemy z powrotem do Honiary, a pojutrze wracamy już do domu...

W Honiarze załatwiamy ostatnie sprawy, kupujemy ostatnie pamiątki, pakujemy się. W sobotę – w przedostatnim dniu pobytu na Wyspach Salomona – po powrocie z Gizo leniuchujemy cały dzień na werandzie naszego domu. Ania znów zaczyna się gorzej czuć i dostaje wysokiej gorączki. Być może po nurkowaniu, a być może odciska na niej swe piętno cotygodniowe łykanie leku antymalarycznego. Tak czy owak kładzie się do łóżka i śpi jak zabita. Na szczęście następnego dnia czuje się już o wiele lepiej.

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

O 17:00 bierzemy taksówkę na międzynarodowe lotnisko w Honiarze i odprawiamy nasze bagaże. Przy okazji okazuje się, że w mojej tranzytowej wizie do Australii widnieje błąd w imieniu. Prawie pół godziny zajmuje urzędnikom przy odprawie wyjaśnienie tego błędu, nie wyłączając telefonu do Canberry. Ostatecznie wszystko się udaje i o 20:00 odlatujemy do Brisbane. Żegnaj, Chester House, żegnaj, Honiario, żegnajcie Wyspy Salomona. Wiem, że jeszcze tu wrócę. Muszę.

W Brisbane znów musimy przejść przez kwarantannę – wszystkie nasze ładnie pozawijane i popakowane prezenty muszą być otwarte i sprawdzone, każdy pyłek wysypywany jest na specjalnie podłożoną kartkę i poddawany dokładnym oględzinom... Trwa to całe wieki, ale ostatecznie do niczego się nie przyczepiają i możemy opuścić lotnisko. Udajemy się – tak jak na początku naszej podróży – do domu Liz i Johna. Przyjeżdżamy po północy, więc szybciotko bierzemy prysznic i kładziemy się spać. Nazajutrz spotykamy tylko Liz – John jak zwykle bardzo wcześnie idzie do pracy. Opowiadamy jej o swych przygodach na Salomonach, trochę rozmawiamy, jak zwykle częstuje nas pysznościami, ale musimy pędzić na lotnisko. Ania chce jeszcze kupić trochę prezentów z Australii, a przede wszystkim – pomni naszej przygody z liniami Emirates w drodze na Wyspy Salomona – wolimy być na lotnisku dużo wcześniej. I słusznie, gdyż tym razem z kolei przyczepiają się do naszego bagażu. Na wszystkich dotychczasowych lotach nie było z tym problemu. Teraz nagle okazuje się, że mamy 6 kilogramów nadbagażu. Nie to jest jednak problemem, lecz raczej fakt, że za owe 6 kilogramów zapłacić musimy... prawie 300 dolarów australijskich! To szczęście, że zostały nam jeszcze dolary amerykańskie, gdyż inaczej moglibyśmy być w poważnych tarapatkach!

Ostatecznie udaje nam się wejść do samolotu, zatrzymując nawet część naszych pamiątek i prezentów w bagażu podręcznym. Niestety, część musi pójść do bagażu głównego, co kończy się uszkodzeniem największej pamiątki.

Czeka nas kilkudziesięciogodzinny lot, tym razem niemal non-stop, gdyż przystanki w Singapurze i Dubajju są zbyt krótkie, by naprawdę wypocząć i rozprostować kości. Za to lecimy najnowszym nabytkiem linii Emiratem, Boeingiem 777, o potężnych silnikach, wyposażonym w luksusy, łącznie z tym, że podczas nocnego lotu, przy zgaszonych lampach, sufit rozświetla się maleńkimi gwiazdkami... Na trasie z Dubajju do Londynu obsługuje nas przesympatyczna stewardesa z Polski, dzięki czemu mamy dodatkowe porcje napojów i herbatników, a także otrzymujemy maleńkie podarunki, zarezerwowane zazwyczaj dla pasażerów z klasy biznesowej.

Po kilkugodzinnym oczekiwaniu na lotnisku Gatwick wyruszamy wreszcie w nasz ostatni lot do Warszawy. Zmęczeni i niewyspani, a także smutni, że nasza salomońska przygoda dobiegła już końca (choć także zadowoleni, że wracamy do własnego kąta), lądujemy w Polsce około 23:00 i bierzemy taksówkę do domu. Jutro jeszcze ostatni dzień wakacji, a już potem musimy wrócić do rzeczywistości, co nie jest zbyt łatwe...

* * *

Czy warto było przebyć tysiące kilometrów i znaleźć się w tym dziwnym kraju, gdzie piekło miesza się z rajem, podania z rzeczywistością, gdzie trzy żywioły – góry, tropikalna dżungla i morze – współistnieją, broniąc dostępu przed wścibskimi eksploratorami i czyniąc legendy żywymi, a może rzeczywistość mitem?

Odpowiem przewrotnie i nie wprost. Nie przyjeżdżajcie na Wyspy Salomona. Nie nurkujcie w turkusowych wodach wokół Gizo. Nie wspinajcie się na wzniesienia wśród gęstego lasu tropikalnego. Nie spędzajcie dni i nocy w tradycyjnych wioskach. Nie pływajcie wraz z miejscowymi wydrążonym canoe, rozglądając się, czy w okolicy nie czatuje krokodyl, albo czy nie okrąża was rekin. Nie odwdzięczajcie się miejscowym, dając im pieniądze, żywność, albo nawet tylko opowiadając jakąś historię. Nie opisujcie wreszcie swoich przygód i przeżyć – jakie by one nie były i czego nie dotyczyły – na łamach prasy czy w Internecie.

Albowiem wówczas po was przyjdą inni. A po nich jeszcze inni. I wkrótce turkusowe laguny na Gizo otoczone będą pięciogwiazdkowymi molochami. Las zostanie wycięty albo wytyczony będzie przezeń bezpieczny szlak, wiodący przez tereny lęgowe ptaków, ssaków czy gadów. Z wiosek znikną tradycyjne drewniane chaty, a na ich miejscu powstaną murowane bungalowy. Krokodyle odejdą, rzeki wyschną albo staną się zanieczyszczone. Miejscowi staną się pazerni, zachłanni, albo też poza turystyką nie będą umieli znaleźć sobie miejsca. Nie stanie się to jutro ani za rok. Lecz jeśli – paradoksalnie – pozostawimy Wyspy Salomona niewyobrażalnemu wręcz bogactwu przyrody, która nadal czynić będzie ten kraj tak trudno dostępnym, jednocześnie chroniąc dziedzictwo naturalne i kulturowe kraju, to – jest szansa, że owi nieliczni na szczęście turyści, którzy tam dotrą cieszyć się będą pięknem kraju i życzliwością miejscowych mieszkańców jeszcze przez długie dziesięciolecia i stulecia.

Salomony uchyliły przed nami zaledwie rąbeczka swego bogactwa i dziedzictwa, a także swych niezwykłych zagadek. Zapewne gdybyśmy – tak jak większość spotkanych przez nas białych – przyjechali tu w celach czysto i wyłącznie turystycznych, udałoby się nam zobaczyć nieco więcej. Na to jednak potrzeba by też o wiele więcej czasu, gdyż nie wszystko na Wyspach Salomona jest takim, jakie się wydaje na pierwszy rzut oka.

Jest też rzeczą oczywistą, że nie zrealizowałem wszystkich celów i założeń badawczych. Nawet jednak gdyby mi się to udało, nie sądzę, bym był w stanie odpowiedzieć, czy owe wszystkie istoty i zjawiska, o których opowiadają miejscowi są tylko częścią folkloru, czy też czymś jak najzupełniej realnym. Ma własna obserwacja „Wężowych Smoków” zdaje się potwierdzać, że za opowieściami starych osób kryje się obraz RZECZYWISTOŚCI daleko różnej, od tej, do jakiej przyzwyczało nas

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

doświadczenie życiowe i wrodzony nam – ludziom Zachodu – pragmatyzm w myśleniu.

Jednak nawet obserwacja owych dziwnych światłał nie przynosi odpowiedzi na pytanie, czym są i dlaczego tu są, dlaczego właśnie tu.

Wiele czynników – zarówno natury obiektywnej (takich jak choroba i złe samopoczucie, nie wywiązanie się pewnych osób z obietnic itp.), jak i bardziej osobistej (chęć dokładniejszego zbadania doniesień Boirayona na miejscu, tj. na Guadalcanal) – sprawiło, że nie udało nam się w ogóle dotrzeć na dwie pozostałe, niezwykle tajemnicze wyspy, czyli Makirę i Malaitę.

Lecz i tu sprawa ma się podobnie: fakt odwiedzenia tych wysp, spotkania się z ludźmi mającymi ponoć styczność ze światłami, gigantami czy „małymi ludźmi” albo chociaż osobami, które owe byty czy zjawiska obserwowały, nie doprowadziły z pewnością do wysunięcia ostatecznych wniosków na temat natury i pochodzenia istot i światłał. Nawet bezpośrednia styczność z gigantem lub „małym ludzikiem” – „kakamoro” – mogłaby (a to przecież i tak już bardzo dużo!) udowodnić jedynie prawdziwość ich istnienia, nadal nie wyjaśniałaby jednak ich natury i celu przebywania na Wyspach Salomona oraz ich pochodzenia.

Jest oczywiście tylko jedno pewne i nie dające się podważyć stwierdzenie: albo owe istoty i zjawiska istnieją, albo nie istnieją. A właściwie należy napisać inaczej: albo istnieją w materialnym, namacalnym, żądającym twardych dowodów świecie, albo nie. W opowieściach rdzennych mieszkańców wieść one będą bowiem jeszcze długi, długi żywot, a ich realność dla tych ludzi będzie tak oczywista i niepodważalna, jak dla nas oczywistym i niepodważalnym jest istnienie elektryczności albo fal radiowych, nawet pomimo tego, że gołym okiem nie można ich zobaczyć.

Jest zadaniem poważnych, interdyscyplinarnych ekspedycji, składających się tak z naukowców, jak i badaczy alternatywnych, odkrycie prawdy o tym zaginionym i zapomnianym świecie. Jedynym sposobem przekonania się o realności (lub nie) opisanych tajemnic jest nie tylko wysłuchanie dawnych opowieści, ale udanie się do miejsc, gdzie pojawiają się i żyją – zgodnie ze słowami lokalnych mieszkańców – „Wężowe Smoki”, giganci, „mali ludzie”. Autor niniejszego raportu na własne oczy przekonał się, że za opowieściami o „Wężowych Smokach” kryje się coś więcej, niż tylko mit, legenda, tradycja. Byłoby zaprzepaszczeniem ogromnej szansy, gdyby tematem nie zainteresowali się uczeni i badacze, teraz, kiedy wiemy, że „Wężowe Smoki” naprawdę się pokazują, kiedy i – co najważniejsze – gdzie. Jeśli to tylko działalność człowieka lub sił przyrody? Wspaniale, wyjaśnimy kolejną zagadkę tej planety. A jeśli nie? Jeśli za „Wężowymi Smokami” kryje się tajemnica tak wielka, że nie jesteśmy nawet w stanie sobie jej wyobrazić? No i jak często mamy szansę obserwować te same obiekty i/lub istoty w tym samym miejscu o tym samym czasie?

RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

Jeśli ktoś mi zarzuci, że w powyższym wywodzie popuszczam za mocno wodze fantazji, to odpowiem tylko, że tak długo, jak ktoś nie przedstawi absolutnie i niepodważalnie przekonujących dowodów na realność bądź nierealność istnienia dziwnych zjawisk i bytów na Wyspach Salomona, każdy ma prawo do takiej ich interpretacji, jaką uzna za stosowne. I do znudzenia powtarzać będę: ten kraj potrzebuje ekspedycji. Obfituje w „opowieści dziwnej treści” i aż dziw bierze, że nikt nie weryfikuje – z pozytywnym lub negatywnym skutkiem – zawartych w nich informacji i przekazów. Jedyne zorganizowana ekspedycja mogłaby nie tylko dokonać obserwacji „Wężowych Smoków” z użyciem specjalistycznego sprzętu (noktowizory, lunety i inny sprzęt, umożliwiający nocną obserwację z większych odległości, uwzględniającą szczegóły), ale także udać się w miejsce, w którym owe „Wężowe Smoki” się widuje.

Chociaż jednak nie dysponowałem na Wyspach Salomona ani wystarczającymi środkami finansowymi, ani wystarczającą ilością czasu, by zorganizować poważną ekspedycję, niemniej nie odniosłem w ostatecznym rozrachunku całkowitej porażki. Co najistotniejsze, udało mi się dokonać obserwacji dziwnych światła na niebie. Ponadto udało mi się – w sposób pozytywny lub negatywny – zweryfikować niektóre choćby stwierdzenia, zawarte w artykule Mariusa Boirayona. Wreszcie, dowiedziałem się też, dlaczego kontakt z nim (oraz niektórymi osobami z jego otoczenia, które także były świadkami czegoś niezwykłego) jest utrudniony lub wręcz zgoła niemożliwy. Poznałem Chrisa Blackwella, Roberta z wioski Mataniko (rodowitego Malaitańczyka i eks-męża kobiety z Makiry) oraz – co by o nim nie mówić – Johna Maeli. To przydatne i wartościowe kontakty, osoby, które w przyszłości będą w stanie być może doprowadzić do innych osób, mogących przekazać ważne informacje lub wspomóc swą wiedzą i doświadczeniem potencjalną ekspedycję.

Z czysto turystycznego punktu widzenia – i biorąc pod uwagę moje prace badawcze – udało nam się, jak sądzę, zrealizować program minimum, czyli udać się w większość tych miejsc, do których zazwyczaj udają się nieliczni przybywający na Wyspy Salomona turyści. Zwiedziliśmy większość miejsc w Honiarze i wokół niej, odbyliśmy niezapomnianą wycieczkę do przepięknego wodospadu Mataniko (a powrót był jeszcze bardziej niezapomniany), pojechaliśmy do popularnego miejsca weekendowych wypadów – wyspę Savo – gdzie dzieliliśmy czas między bardziej lub mniej wyczerpujące atrakcje a słodkie lenistwo i wreszcie dotarliśmy do najbardziej przez turystów obleganej wyspy – Gizo, gdzie nawet spróbowaliśmy (a raczej Ania spróbowała) głównej w tamtych rejonach aktywności turystyczno-sportowo-rekreacyjnej, czyli nurkowania z butlą.

Czy mogliśmy zobaczyć więcej? Zapewne tak. To prawda, że nie widzieliśmy wielobarwnych rozgwiazd, małych lub całkiem wielkich rekinów, słono- i słodkowodnych krokodyli, że nie opędzaliśmy się od pająków, skorpionów i skolopendr w samym sercu dżunglowego interioru. Nie przeżyliśmy wielu przygód, nie widzieliśmy wielu miejsc, Zawsze jednak może kiedyś w przyszłości być ten

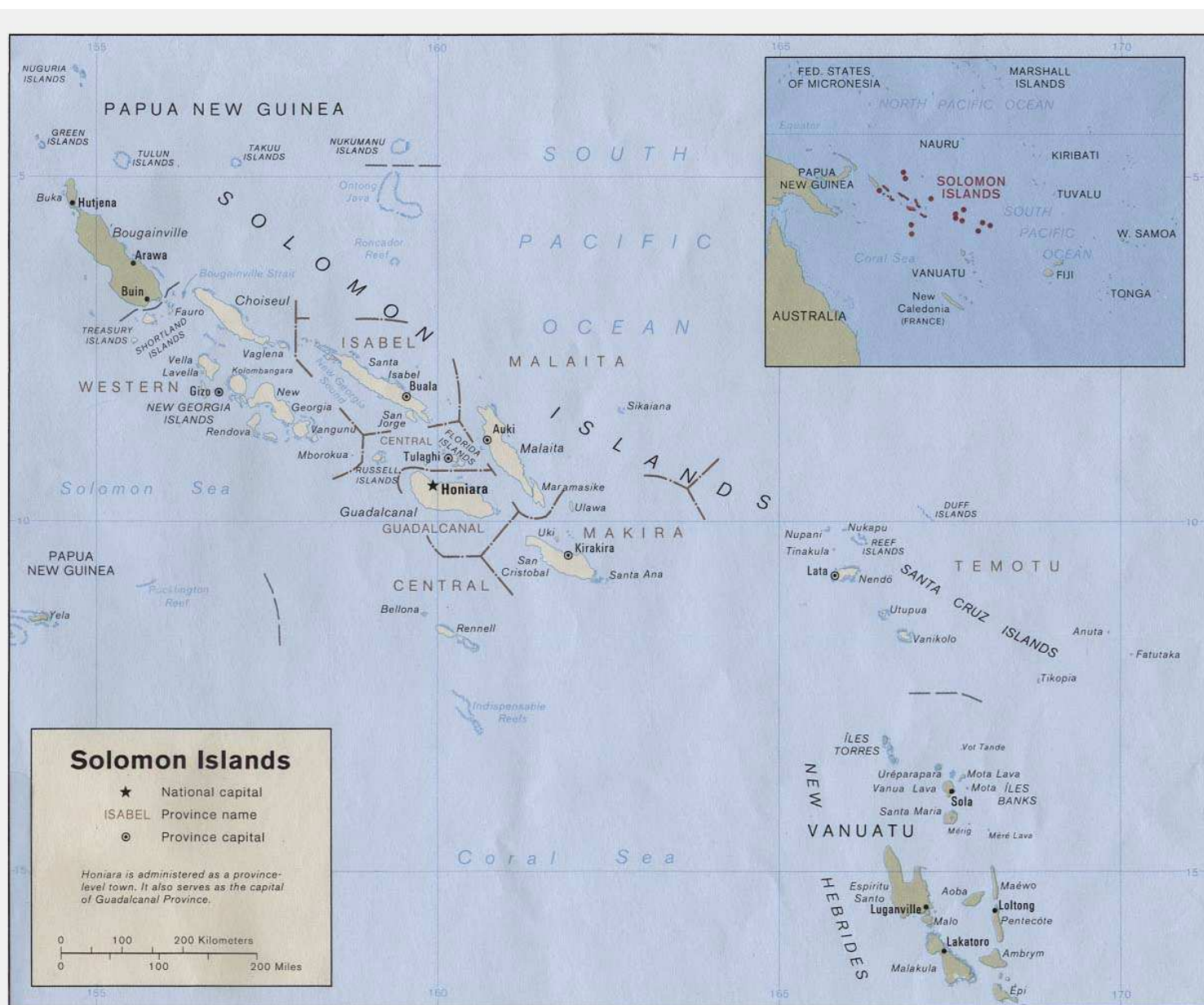
RAPORT Z POBYTU NA WYSPACH SALOMONA

następny raz. Nie żałujemy tego, czego nie widzieliśmy, zachwycamy się tym i celebруем to, co zobaczyliśmy. Jedno jest pewne. Wrócić na Wyspy Salomona chcemy oboje. Ania – by doskonalić swe umiejętności nurkowe, a także pływać w przejrzystych wodach rzek i mórz, ja zaś – by kontynuować badania, samotnie lub jako członek ekspedycji.

I mamy wielką nadzieję, że nasze plany i marzenia jeszcze się kiedyś ziszczą.

ZAŁĄCZNIK I

WYSPY SALOMONA: PODSTAWOWE INFORMACJE O KRAJU



1 NAZWA KRAJU:

Solomon Islands (ang.), Solomon Aelan (pidgin), Wyspy Salomona (pol.)

2 POŁOŻENIE:

Wyspy Salomona położone są na składającym się z niemal 1000 wysp archipelagu o tej samej nazwie. Największa z wysp, Guadalcanal, ma ponad 5000 km² powierzchni, zaś najmniejsze, niezamieszkałe, wysepki mają kilkaset metrów kwadratowych.

Na większych wyspach króluje tropikalna, gęsta dżungla w interiorze, porastająca wzniesienia o wysokości od kilkudziesięciu do kilku tysięcy metrów (najwyższy szczyt,

PODSTAWOWE INFORMACJE O KRAJU

Mount Makarakomburu, liczy prawie 2500 metrów). Mniejsze wyspy na zachodzie i wschodzie kraju to z kolei głównie koralowe laguny i teren bardziej płaski (choć nie stanowi to reguły).

Pomimo niewielkich rozmiarów nawet największych wysp, kraj ten rozciąga się od położonej na północnym wschodzie Papui-Nowej Gwinei aż po swego południowo-wschodniego sąsiada, Vanuatu, na długości 1450 kilometrów, a łączna powierzchnia kraju wraz z wodami terytorialnymi wynosi aż 725.197 km² (z czego łączna powierzchnia masy lądowej wynosi zaledwie 27.540 km²). Wyspy Salomona położone są pomiędzy (w przybliżeniu) 5. a 12. stopniem szerokości geograficznej południowej oraz pomiędzy (w przybliżeniu) 155. a 170. stopniem długości geograficznej wschodniej.

3 PROWINCJE I PODZIAŁ ADMINISTRACYJNY:

Stolicą kraju jest Honiara (ok. 54.600 mieszkańców). Wraz z okolicznymi przedmieściami i wioskami stanowi ona jednocześnie odrębną jednostkę administracyjną, terytorium stołeczne. Ponadto Wyspy Salomona podzielone są na 9 następujących prowincji (wedle powierzchni masy lądowej):

Nazwa prowincji	Powierzchnia	Stolica	Najważniejsze wyspy
Zachodnia (Western)	5475 km ²	Gizo	Fisi, Fauro, Gizo, Ghoi, Kavachi, Kennedy, Kiambe, Kingguru, Kohinggo, Kolombangara, Liapari, Logha, Lola, Marovo, Matikuri, Mbava, Mborokua, Mbulo, Mondomondo, Mono, Nakaza, New Georgia, Nggatokae, Nusatupe, Ranongga, Rendova, Shortland, Simbo, Stirling, Telina, Tetepare, Vella Lavella, Uepi, Vangunu, Vonavona
Guadalcanal	5336 km ²	Honiara	Guadalcanal
Malaita	4225 km ²	Auki	Malaita (Big Malaita), South Malaita (Small Malaita), Sikaiana, Onlong Java
Isabel	4136 km ²	Buala	Santa Isabel
Choiseul	3837 km ²	Taro	Choiseul, Taro, Vaghana, Rob Roy
Makira-Ulawa	3188 km ²	Kirakira	Makira (San Cristobal), Ulawa, Uki Ni Masi, Owaraha (Santa Ana), Owariki (Santa Catalina)
Temotu	895 km ²	Lata	Anuta, Fatutaka, Duff (Taumako), Santa Cruz (w tym Nendo, Vanikoro i Utupua), Reef, Tikopia, Tinakula
Rennell & Bellona	671 km ²	Tigoa	Rennell, Bellona, Indispensable Reef
Centralna (Central)	615 km ²	Tulagi	Aeaun, Mbanika, Nggela, Russell, Savo, Tulagi

Źródło: Wikipedia

4 LUDNOŚĆ:

Wyspy Salomona to część Melanezji. W związku z tym przeważająca część mieszkańców (94,5%) to Melanezyjczycy. Oprócz nich kraj ten zamieszkują także Polinezyjczycy (3%), Mikronezyjczycy (1,3%) oraz inne narodowości, w tym pewna część Chińczyków oraz Europejczyków i Australijczyków. Ogółem Wyspy Salomona zamieszkuje (według stanu z lipca 2008 roku) ok. 581.000 mieszkańców, z czego na wyspie stanowiącej największą masę lądową – Guadalcanal – około 100.000, w tym w stolicy (Honiarze) około 54.600.

5 RELIGIE I WYZNANIA:

Religią dominującą na Wyspach Salomona jest chrześcijaństwo. Tylko nieznaczny odsetek mieszkańców wyznaje wiarę przodków (poniżej 5%). Istnieje też bardzo niewielki procent (pomijalnie mały) muzułmanów. Wśród wyznań chrześcijańskich największym powodzeniem cieszy się Kościół Melanezyjski (Anglikański), który ma 32,8% wyznawców, a następnie: Kościół Rzymskokatolicki (19%), Ewangeliczny Kościół Mórz Południowych (17%), Adwentyści Dnia Siódmego (11,2%), Metodyści (10,3%) oraz Kościół Stowarzyszenia Chrześcijańskiego (2,4%)

6 JĘZYKI:

Urzędowym i oficjalnym językiem Wysp Salomona jest język angielski, posługuje się nim jednak nie więcej, niż 5% mieszkańców kraju, naturalnie głównie w miastach i w rejonach turystycznych. Najbardziej rozpowszechnionym językiem, lingua franca Wysp Salomona jest salomońska odmiana pidgin, zwana pijin. Jest to mocno uproszczona i dostosowana do lokalnej wymowy wersja angielskiego, wymieszana ze słowami lokalnymi i hiszpańskimi. Pijin umożliwia też porozumiewanie się między sobą osób z innych prowincji czy wysp, a czasem innych dzielnic czy wręcz wspólnot lub wiosek, w kraju tym bowiem istnieje ok. 85 lokalnych języków.

Przykładowe zwroty w pijin:

Nem blong mi Ana. (My name is Anna, czyli mam na imię Anna.)

Mi kam from Polan. (I come/came from Poland, czyli przyjechałem z Polski.)

Hao mas fo go long datwan hotel? (How much to go to that hotel, czyli ile za przejazd do tamtego hotelu?)

Mitufala save staka kastom stori. (We [two] know a lot of custom stories, czyli my [dwoje] znamy wiele tradycyjnych opowieści.)

Mi no garem eni pikinini iet. (I do not have any children yet, czyli nie mam jeszcze dzieci.)

Mi save pijin lelebet. (I know pidgin a little bit, czyli znam troszeczkę pidgin.)

Dużo więcej przydatnych zwrotów i zdań znaleźć można w książeczce z serii „Phrasebook” wydawnictwa Lonely Planet.

7 PIENIĄDZE:

Walutą Wysp Salomona jest Dolar Salomoński. Jeden dolar salomoński (SBD) równy jest w przybliżeniu 0,33 zł. Występują następujące banknoty:

1. 100 SBD
2. 50 SBD
3. 20 SBD
4. 10 SBD
5. 5 SBD
6. 2 SBD

[przykładowe zdjęcia wybranych banknotów zobaczyć można na stronach: <http://www.banknotes.com/sb23.htm>, <http://www.banknotes.com/sb19.htm>, <http://www.banknotes.com/sb20.htm>, <http://www.banknotes.com/SB21.JPG>, <http://www.banknotes.com/SB21R.JPG>].

Ponadto istnieją także następujące monety:

1. 1 SBD
2. 0,50 SBD (50 centów)
3. 0,20 SBD (20 centów)
4. 0,10 SBD (10 centów)
5. 0,05 SBD (5 centów)

Ze względu na inflację i galopujące ceny monety niższe od 50 centów przestają praktycznie mieć znaczenie, choć reszta często wydawana jest jeszcze właśnie w drobnych.

SBD jest walutą niewymienną na świecie, ale na samych Wyspach Salomona można w bankach wymienić ją na dolary amerykańskie lub australijskie, franki szwajcarskie, funty szterlingi czy euro. Naturalnie działa to także w drugą stronę, przy wymianie obcej waluty na lokalną.

8 HISTORIA:

Nie wiadomo zbyt wiele na temat wczesnej prehistorii Wysp Salomona. Materiały wykopane przez archeologów na wyspach Santa Ana, Guadalcanal i Gawa wskazują, że na większych wyspach żyli myśliwi-zbieracze już ok. roku 1000 p.n.e. Niektórzy z mieszkańców Wysp Salomona są potomkami neolitycznych ludów austronezyjskich, które przybyły z południowo-wschodniej Azji.

Europejskim odkrywcą Salomonów był hiszpański eksplorator, Alvaro de Mendaña Y Neyra, który w roku 1567 wyruszył z Peru, aby szukać legendarnych Wysp Króla Salomona. W roku 1767 na salomońskie wody wpłynął brytyjski żeglarz Philips Carteret. W następnych latach podróżnicy i badacze przybywali tu coraz częściej.

W połowie XIX stulecia na Salomony zaczęli przyjeżdżać misjonarze. Z początku nie czynili dużego postępu, a to ze względu na procedurę zwaną „zakoszaniem” (ang. „Blackbirding”) – często brutalną rekrutację robotników do pracy na plantacjach cukrowych Queensland i Fidżi – która doprowadziła do szeregu krwawych zemst i masakr. Ponura sława handlu ludźmi skłoniła Zjednoczone Królestwo do ogłoszenia w roku 1893 protektoratu nad zachodnimi Salomonami. W latach 1898 i 1899 dodano do terytorium protektoratu jeszcze kilka wysp zewnętrznych; zaś w roku 1900 pozostała część archipelagu, wcześniej pod jurysdykcją niemiecką, przekazana została administracji brytyjskiej. Po powstaniu protektoratu na Wyspach Salomona zaczęli osiedlać się misjonarze, nawracając większość ludności na chrześcijaństwo.

We wczesnych latach XX wieku kilka brytyjskich i australijskich firm otworzyło olbrzymie plantacje palm kokosowych. Wzrost gospodarczy był jednakże powolny, a rdzenni mieszkańcy niewiele na tym skorzystali. Po wybuchu II Wojny Światowej większość plantatorów i kupców ewakuowano do Australii, a większość upraw podupadła.

Od maja 1942 roku, kiedy to rozpoczęła się Bitwa o Morze Koralowe, aż do grudnia roku 1943 Wyspy Salomona stały się nieustanną areną działań wojennych. Chociaż w sierpniu 1942 roku na Guadalcanal wylądowały amerykańskie siły zbrojne, nie napotykając praktycznie żadnego oporu, wkrótce jednak stoczyły one krwawą bitwę o kontrolę nad lądowiskiem, znajdującym się na wyspie, które armia USA nazwała Polem Hendersona (Henderson Field). Jedną z najostrzejszych walk morskich w historii została stoczona niedaleko wyspy Savo, koło Guadalcanal, także w sierpniu 1942 roku. Zanim Japończycy na dobre wycofali się z Guadalcanal w lutym 1943 roku, zginęło ponad 7000 Amerykanów i 21000 Japończyków. Do grudnia 1943 roku Alianci sprawowali kontrolę nad całym archipelagiem. Obecność na tak wielką skalę sił amerykańskich na wyspach pod koniec wojny, przyćmiewająca wszystko, co wcześniej tu widziano, stała się zarzewiem wielu ruchów pokojowych i pozostawiła po sobie trwałe przyjaźnie.

Po zakończeniu wojny powrócił brytyjski rząd kolonialny. Stolicę przeniesiono z Tulagi do Honiary, aby móc wykorzystać infrastrukturę, pozostawioną przez wojska amerykańskie. Lokalny ruch, zwany Maszerującymi Rządami (Marching Rule), sprzeciwiał się władzy rządu. Nastąpiła seria niepokojów, dopóki niektórych przywódców nie osadzono w więzieniu w roku 1948. Przez całe lata pięćdziesiąte pojawiały się i znikwały inne lokalne grupy dysydentów, żadna z nich jednak nie zdobyła przewagi i siły.

W roku 1960 zgromadzenie doradcze Wysp Salomona zostało wyparte przez zgromadzenie ustawodawcze, a jako organizację prowadzącą politykę protektoratu utworzono zgromadzenie wykonawcze. Zgromadzenie stopniowo otrzymywało coraz więcej władzy.

PODSTAWOWE INFORMACJE O KRAJU

W roku 1974 przyjęto nową konstytucję, zgodnie z którą kraj stał się demokracją parlamentarną, posiadającą ministerialny system rządów. W połowie roku 1975 oficjalna stara nazwa – Brytyjski Protektorat Wysp Salomona – została zastąpiona nową, czyli po prostu Wyspy Salomona. 2 stycznia 1976 roku Salomony przejęły ster rządów, a dnia 7 lipca 1978 roku stały się niezależnym państwem. Targały nim jednak w różnych okresach konflikty na tle etnicznym. Najgorszy taki konflikt, w którym zginęło wiele tysięcy osób, miał miejsce w latach 1998-2003.

ZAŁĄCZNIK II

CZAS, LUDZIE I PIENIĄDZE NA WYSPACH SALOMONA – KILKA UWAG I SPOSTRZEŻEŃ

CZAS

Czy jutro może być inne od dnia dzisiejszego? Czy można czynić plany na więcej, niż godzinę naprzód? Czyż jutro znowu nie wzejdzie i nie zajdzie słońce, wyznaczając granice kolejnego dnia i kolejnej nocy? Po co więc się spieszyć, tym bardziej, że i tak od rana chwyta nas w swe lepkie i słone macki obezwładniający upał? Nie zawracajmy sobie czasu punktualnością i ciągłym pospiechem, bo to naprawdę niezdrowe.

Taki mniej więcej tok myślenia stoi u podstaw zjawiska, które potocznie nazywa się czasem salomońskim (w odróżnieniu od „czasu białego człowieka”). Nie wynika ono bynajmniej ze złej woli Salomończyków. Tutaj tak po prostu jest.

Kiedy więc organizujemy spotkanie albo umawiamy się na konkretną godzinę, nie liczymy raczej na to, że wszyscy zjawią się o wyznaczonej godzinie. Możemy jeszcze spokojnie skoczyć do kawiarenki na kawkę, którą niespiesznie przygotują i przyniosą nam niczym w spowolnionym o połowie filmie.

Czas salomoński ma zastosowanie nie tylko w kontaktach towarzyskich, ale przenosi się też w sfery życia publicznego.

Po pierwsze banki i sklepy (a nawet większość barów, restauracji i kawiarni) zamykane są już o godzinie 15:00, 16:00, a najpóźniej 17:00. Co więcej, jeśli spieszy nam się o godzinie 12:00 w południe, to niczego nie załatwimy, albowiem wszystkie urzędy, biura i sklepy mają wtedy lunchową przerwę. A – jak wiadomo – świętości nie należy szargać, więc któż ośmieli się pracować w przerwie obiadowej? Wyjątkiem od tej reguły są oczywiście miejsca, w których można coś zjeść.

Po godzinie 17:00 miasto nieomal zamiera. Jedyne otwarte sklepy i restauracje to te, które należą do zamieszkujących tu od dawna Chińczyków lub do białych.

Po drugie, jeśli chcecie przedostać się łodzią czy statkiem na inną wyspę archipelagu, to nie macie co liczyć na rozkład rejsów. Jeśli otrzymacie odpowiedź, że statek czy łódź odpływa za trzy dni – istnieje prawdopodobieństwo, że za tydzień odpłyniecie. Przecież trzeba zebrać odpowiednią liczbę pasażerów (inaczej się nie opłaca), uzbiierać pieniądze na paliwo, naprawić uszkodzenia... To wszystko trwa, nieprawdaż? Dlatego jeśli jesteście zdeterminowani, by z Honiary i innych większych miast udać się w inne części Wysp Salomona, sugeruję rozbicie namiotu przy porcie. Wyjdzie taniej i stresu mniej. Oczywiście nie dotyczy to wszystkich jednostek

pływających i wszystkich sytuacji. Na przykład ponoć na Malaitę „coś” odpływa codziennie, choć nie bardzo wiadomo, czy to coś jest wygodnym, dużym statkiem, czy wykonaną z włókna szklanego łodzią z silnikiem.

Jeśli jednak zależy Wam bardzo na czasie i dysponujecie większą ilością pieniędzy, możecie przecież podróżować samolotem. W miarę rozbudowana sieć połączeń dowiezie Was do głównych miast poszczególnych wysp archipelagu, choć tylko dwa lotniska posiadają asfaltową nawierzchnię, a reszta to trawiaste lądowiska.

Musicie jednak uzbroić się w okazałe zasoby cierpliwości, picia i jedzenia. Punktualny odlot małych (19-osobowych) samolocików należy tu do rzadkości. W najlepszym razie Wasz lot zostanie opóźniony o kilka godzin, w nieco gorszym – o kilka dni, a w najgorszym będzie odwołany... Trzeba zawsze pamiętać o czasie salomońskim, bez względu na okoliczności. I przyzwyczaić się do zupełnie innego tempa życia, które zresztą odpowiada mi o wiele bardziej, niż nieprzytomny pęd świata zachodniego.

LUDZIE

Uczynni, gościnni, uśmiechnięci, życzliwi... Lecz słowem, które już na zawsze będzie mi się kojarzyć z Salomończykami jest – BETEL. Żucie tego specyfiku jest wplecione w tradycję tego kraju (a także wielu innych krajów Oceanii i Azji południowo-wschodniej) tak mocno, że nie sądzę, by zwyczaj ten kiedykolwiek wykorzeniono lub zarzucono. Nie udało się to przecież kolonizatorom i misjonarzom...

Powszechnie uważa się, że Salomończycy żują „orzeszki betelu” (ang. „betel nut”). W istocie owa kolokacja ma swe źródła w swoistej ignorancji dawnych kolonizatorów. O ile z gramatycznego punktu widzenia zwrot ten funkcjonuje w angielskim, o tyle semantycznie stanowi błąd: zielone owoce (orzeszki), które tak namiętnie, na każdym kroku, co pół godziny, kupują i żują mężczyźni, ale także kobiety, a nawet starsze dzieci, są orzechami arekowymi (z palmy areka katechu), a zwrot „orzeszki betelu” wziął się ze zwyczaju żucia areki wraz z LIŚĆMI betelu (i innymi składnikami).

Na Wyspach Salomona podstawowe składniki to orzeszek, liście betelu zwinięte w rurkę oraz wapno, sporządzone ze zmielonych muszli. Zadaniem wapna jest utrzymanie podstawowych składników przeżuwanej mikstury w formie alkalicznej, co pozwala na ich wchłanianie wprost z jamy ustnej. Poza tym zawarte w samym orzeszku składniki wywołują zwiększone wydzielanie śliny.

Nietrudno się chyba domyśleć, jaki widok najczęściej kojarzy nam się z mieszkańcami „Wysp Szczęśliwych”: wampiryczne zjawy, z ustami pełnymi świeżej krwi, żywe manekiny z uszmiłowanymi karminem ustami... i czerwone rozbryzgi na chodnikach, a nierzadko także ścianach... Przy czym ze względu na zawartość

sproszkowanego wapna w przeżuwanej miksturze, w wyniku długiego i częstego używania, zęby większości Salomończyków przybierają brązowo-czerwonej barwy, a u wyjątkowych nałogowców przypominają stępione pieńki. Zdarza się, że nałóg ten doprowadza do raka dziąseł.

Nie oznacza to jednak, że żucie betelu i widok żujących to jedyna impresja, jaką wyniosłem z obcowania z rdzennymi mieszkańcami.

Poza wszechobecnym dostosowaniem się do czasu salomońskiego (patrz wyżej), które spowalnia dwukrotnie każdy ruch tutejszego mieszkańca, wobec Salomończyków odniosłem – pomimo opisanych w raporcie nieprzyjemnych sytuacji – jak najlepsze wrażenia. To ciepli i otwarci ludzie, którzy do odwiedzających ich kraj przyjezdnych podchodzą z życzliwością i wyrozumiałością. To także kraj daleko bardziej bezpieczny od wielu innych tropikalnych miejsc: tu nie jest się na każdym kroku zaczepianym przez miejscowych, a nawet nocne spacery po mieście mogą skończyć się co najwyżej prośbą o „wsparcie finansowe” w zamian za jakąś przysługę.

To właśnie ta otwartość Salomończyków, w połączeniu z ich wrażliwością, sprawia, że tak dobrze spędza się z większością z nich czas i że chce się poszerzać ich horyzonty, poszerzając jednocześnie swoje.

Ale ludzie to nie tylko miejscowi mieszkańcy. To także turyści. Ilość spotkanych podczas pobytu obcokrajowców wskazuje na to, że – na swe szczęście lub nieszczęście – Wyspy Salomona to wciąż niezbyt popularny kierunek podróży i że (co nie dziwi) najczęściej przyjeżdża tu Australijczyków. Z drugiej jednak strony rozrzut geograficzny krajów, z których przybywają przybysze jest na tyle spory, że być może oznacza to powolny proces upowszechniania się wypraw w tamte rejony w Europie. Podczas czterotygodniowego pobytu na wyspach spotkaliśmy poza Australijczykami (i grupą Angielek, odbywających tu staż w miejscowym szpitalu) Słoweńca, parę Norwegów, kilkoro Szwajcarów i turystów z Wielkiej Brytanii.

I jeszcze jedno: znaczna ilość Salomończyków, z którymi rozmawialiśmy, a którzy zagadywali nas, pytając skąd jesteśmy, albo wiedziała gdzie jest Polska (w jednym przypadku wymieniając nawet Warszawę jako stolicę), albo przynajmniej miała świadomość, że istnieje taki kraj. Kiedy z kolei my mówiliśmy rodzinie, przyjacielom, znajomym czy koleżankom/kolegom, o tym, że jedziemy na Wyspy Salomona, w przeważającej większości przypadków spotykaliśmy się z całkowitym brakiem wiedzy odnośnie położenia tego kraju, a czasem nawet co do samego faktu jego istnienia. Nie wiem, czy świadczy to o tak wysokim poziomie szkolnictwa podstawowego na Wyspach Salomona, czy o tak niskim w Polsce... Naturalnie zdaję sobie sprawę, że w naszych mediach brak praktycznie jakichkolwiek wiadomości nie tylko z tego kraju, ale z całego rejonu Oceanii i Pacyfiku. Z drugiej jednak strony wiadomości o Europie, a w szczególności o Polsce, też nie gościły często w salomońskiej prasie, telewizji czy radiu. Z jednym zaskakującym wyjątkiem: pakując pamiątki i prezenty natknęliśmy się

zupełnym przypadkiem na fragment jednego z dzienników, który za agencją AFP podawał, że Herbuś i Mroczek wygrali taneczny konkurs Eurowizji...

PIENIĄDZE

Planując podróż na Wyspy Salomona spodziewaliśmy się, że – tak jak tyle innych egzotycznych i odległych państw, które odwiedziliśmy – będzie to kraj niedrogi i że zasadniczą część naszych wydatków stanowić będzie przelot z Warszawy do Honiary. Istotnie, nie ulega wątpliwości, że najwięcej zapłaciliśmy za bilety lotnicze. Jednak z każdym dniem pobytu przeżywaliśmy niemiłe rozczarowanie obowiązującymi na Wyspach Salomona cenami. Ze względu na niestabilność sytuacji gospodarczej i często zmieniające się rządy poziom inflacji jest tu wyjątkowo duży, a ceny wzrosły nawet i do 200% w stosunku do okresu sprzed około dwóch lat, kiedy to – jak wspomina Ann – wszystko było o wiele tańsze.

Dla przykładu, całkiem podstawowe śniadanie, składające się z jednej kanapki i herbaty lub kawy, to wydatek rzędu 40-50 SBD, czyli jakieś 12-15 złotych. Jeśli ktoś chce się porządnie najść, może się liczyć z wydatkiem dwu-, trzykrotnie większym.

Wszyscy narzekali także na wzrastające ceny paliwa (co może odzwierciedlać ogólnoswiatowy trend). Za ok. 5 litrów paliwa płacono się ok. 45 SBD.

Butelka wody to od kilku do kilkunastu SBD. Za przejazd z lotniska do centrum (lub w drugą stronę) kierowcy pobierali 70 SBD, czyli ok. 20 zł, a więc niewiele mniej, niż przejazd w Warszawie (szczególnie poza godzinami szczytu).

Listę można ciągnąć jeszcze długo. O tym jak drogo jest na Wyspach Salomona niech świadczy fakt, że poznane studentki medycyny z Wielkiej Brytanii (kraju niewątpliwie droższego od Polski) oraz para z Norwegii (jednego z najdroższych krajów w Europie) narzekali zgodnie, że niektóre z cen porównywalne są do cen w ich własnych krajach!

Być może w panującej wszędzie drożyznie upatrywać należy przynajmniej częściowo braku skrupułów pewnej części Salomończyków w wyciąganiu ręki po cudze pieniądze, szczególnie zaś pieniądze turystów. Jestem przekonany, że każda wyspa, dzielnica, wieś i miasto ma swojego Mistera T.

A jednak pomimo wzrostu cen, a co za tym idzie pogorszenia warunków bytowych, większość rdzennych mieszkańców zdaje się jakoś sobie radzić, a podczas pobytu natknąłem się na zaledwie jedną żebraczkę, gdy na przykład w wielu krajach Afrykańskich jest ich całe mnóstwo.

ZAŁĄCZNIK III

KASTOM STORIES

OPOWIEŚCI O GIGANTACH ZNALEZIONE W BIBLIOTECE MUZEUM NARODOWEGO ORAZ ZASŁYSZANE OD MIEJSCOWYCH MIESZKAŃCÓW

KASTOM STORI 1:

GIGANT I BLIŹNIAKI

Żył niegdyś w buszu Malaity gigant, siejący postrach wśród mieszkańców wsi. Gigant ten miał długie włosy i długie pazury u rąk i nóg.

Co noc chodził po wioskach, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci. Chodził od jednej wioski do drugiej, zabijając po drodze ludzi. W jednej wiosce żył pewien mężczyzna wraz z żoną. Nie mieli dzieci, a codzienne obowiązki wykonywali ze smutkiem. Upływał czas, a kobieta zaszła w ciążę. Gdy była w ósmym miesiącu ciąży, zmarł jej mąż. Była bardzo smutna i samotna. Opuściła wioskę i zamieszkała w jaskini.

To właśnie w tej jaskini urodzili się jej synowie. Byli bliźniakami i nazywali się James i John. Matka opowiedziała im o gigancie, który mieszkał po drugiej stronie wyspy. Codziennie matka przestrzegała ich, by nie zapuszczali się głęboko w dżunglę, gdyż mogą natknąć się na giganta.

Któregoś dnia matka podarowała każdemu chłopcu łuk i strzałę. Było to, gdy mieli dwanaście lat.

Chłopcy zapytali matkę, gdzie mieszka gigant. Matka odparła, że jego dom mieści się w drzewie alabalolo. Posiada ono wielkie korzenie i szeroki pień.

Pożegnali się z matką i odeszli, nie mając żadnej broni oprócz łuków i strzał.

James prowadził, a za nim szedł John. Zakradali się cicho, nie czyniąc żadnego dźwięku. Po cichutku weszli do tej części lasu, w której mieścił się dom giganta, lecz wciąż jeszcze mieli długą drogę do przejścia.

Drzewo było wielkie i szerokie i miało bardzo grube gałęzie. Z drzewa zwisały pnącza, po których na nie weszli. Wreszcie dotarli na wierzchołek, a tam spotkała ich niespodzianka. Na jednej z gałęzi spał gigant. Był pogrążony w głębokim śnie i głośno chrapał.

ZAŁĄCZNIK III: OPOWIEŚCI O GIGANTACH

Bliźnięta wzięły długie włosy stwora i obwijały nimi gałąź. Potem zaś wyjęły swe łuki i strzały i zaczęły do niego strzelać. Poczuł strzały, lecz myślał, że to tylko gryzą go komary, więc spał nadal. Gdy tak spał, chłopcy odcięli mu głowę i umarł.

Zabrali głowę giganta do matki, a ona była bardzo szczęśliwa, że bezpiecznie wrócili.

Opowiedzieli o wszystkim mieszkańcom wioski i tej nocy urządzono wielką ucztę. Wszyscy byli bardzo szczęśliwi, tańczono i bawiono się do świtu. Teraz już ludzie nie muszą obawiać się giganta.

Do dzisiaj w żadnej części Malaity nie mieszka żaden gigant.

* * *

KASTOM STORI2:

GIGANT I DZIECKO

Dawno temu żył bardzo wielki gigant. Miał dwunastu synów i żadnej córki.

Mieszkali w dużych jaskiniach w głębokiej dżungli na wybrzeżu Weathercoast wyspy Guadalcanal.

Byli kanibalami, żywili się ludzkim mięsem.

Dzień po dniu ludzie byli zabijani i zjadani przez owego straszliwego giganta i jego dwunastu synów. Wódz wioski czynił, co w jego mocy, by ocalić ludzi przed strasznymi gigantami. Jego serce przepełnione było smutkiem. Na szczęście nagle przyszedł mu do głowy pomysł. Ludzie musieli przepłynąć na inną wyspę, aby uniknąć zjedzenia przez giganty. Wszyscy ludzie zgodzili się na ten plan i odpłynęli. Żeglowali i żeglowali, aż w końcu osiedli na wyspie.

W tłumie znajdowała się bardzo stara kobieta, ludzie nie chcieli zabrać jej ze sobą swymi canoe, więc pozostawiono ją całkiem samiuteńką. Był to dla niej zaiste czas smutku. Wokół niej nie było żadnego człowieka z wyjątkiem przerażających gigantów. Opuściła dom, by zamieszkać w jaskini. Co noc wychodziła w poszukiwaniu jedzenia.

Jakimś cudem powiła dziecko. Zostało jej подарowane przez dobre duchy, zamieszkujące w morzu. Chłopiec dorastał. Mały chłopiec poprosił matkę, by zrobiła dla niego włócznię. Ćwiczył rzucanie włócznią, aż w końcu postanowił zabić giganty.

ZAŁĄCZNIK III: OPOWIEŚCI O GIGANTACH

Któregoś dnia powiedział matce, że jeśli nie powróci, nie wolno jej się martwić. Chłopiec zniknął wśród drzew i usłyszał dziwny dźwięk.

Spojrzał w górę i ujrzał ślicznego, małego ptaszka. Mały ptaszek powiedział mu, że jeśli chce zabić giganty, musi zjeść owoc z drzewa, rosnącego na brzegu rzeki. Chłopiec poszedł tam i zrobił dokładnie to, co mu radził ptaszek. Potem poszedł do domu gigantów i zaczął z nimi mężnie walczyć, aż pokonał je wszystkie.

Podziękował małemu ptaszkowi i niosąc przedmioty skradzione przez giganty powrócił do matki. Kiedy matka usłyszała o jego odwadze, była z niego bardzo zadowolona. Rozpaliła ogień i nadała sygnały ludziom, którzy uciekli bez niej. Wysłali kilku krzepkich mężczyzn, by dowiedzieli się, o co chodzi z tymi sygnałami, a oni odkryli, że sygnał pochodzi od kobiety, którą pozostawili. Ludzie powrócili do swych domów i znów żyli szczęśliwie.

Kobieta ukryła swego syna, chwając się, że to ona zabiła wszystkie giganty.

W końcu dowiedziano się, że był to jej syn. Dali mu swe córki. Miał w sumie dwanaście żon, został wodzem wioski i aż do śmierci żył szczęśliwie.

* * *

KASTOM STORI 3 (opowiedziana przez kuzyna Johna Maeli, Titusa):

GIGANT I KOBIETA

W jednej z gór, zwanej Baha, żył pewien gigant. Mieszkał w jaskini koło wioski, która oddalona była około dwa kilometry. Gigant zazwyczaj mieszkał w jaskini. Mieszkał przy dużym wodospadzie. Z wierzchołka góry spływał w dół wodospad i właśnie w jaskini za wodospadem mieszkał gigant.

W roku 1970 gigant zabrał jedną z kobiet. Wieczorami, zazwyczaj około godziny piątej wieczorem, kobieta zazwyczaj wychodziła, by zebrać trochę kapusty. Zauważyła w buszu jakiś ruch, spostrzegła małego ptaszka. Kobieta chciała podejść i schwytać ptaszka, lecz ptaszek odfrunął. Szła za nim, żeby go złapać, ale odlatywał. Zauważyła, że ptaszek krok po kroku przesuwa się w stronę jaskini giganta. Zauważyła giganta, a on powiedział: „nie płacz, zajmę się tobą”. Kobieta miała syna i powiedziała gigantowi: „nie, lepiej, żebym poszła do domu”. Odparł na to: „zniosę cię, gdy zajdzie słońce”.

Tak więc kobieta została przed wejściem do jaskini. Gigant rzekł do niej: „wejdź i obejrzyj mój pałac”. A ona na to: „nie chcę tam wchodzić”. Usiadła więc przed jaskinią. Nocą, około godziny ósmej, ludzie rozpoczęli poszukiwania. Gigant

ZAŁĄCZNIK III: OPOWIEŚCI O GIGANTACH

powiedział do kobiety: „trzymaj się mojego grzbietu”. Kobieta złapała się grzbietu giganta, który zaniósł ją w stronę wioski.

Niedaleko wioski gigant pozostawił kobietę i nadeszli ludzie. Kobieta płakała. Ludzie usłyszeli jej płacz, nadeszli i zobaczyli ją, zapłakaną.

Wódz powiedział do zgromadzonych ludzi: „musicie biec do wioski”. Na wierzchołku góry mamy swoją wioskę, pójdźcie tam, i zawołajcie szamana”. Szaman wiedział, jak uzdrowić kobietę. Poszli do wioski, a on znał wszystkie sposoby tradycyjnego uzdrawiania. Dał jej jakieś lekarstwo i kobieta ozdrowiała.

Ów „mu-mu” wciąż żyje o jakieś dwa-trzy kilometry od wioski.

[Opis giganta wedle Titusa: Wygląda jak człowiek, ale ma mnóstwo włosów aż do nóg.]

ZAŁĄCZNIK IV

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ



Czy tak może wyglądać domniemany gigant z Wysp Salomona? Wedle opisów rzekomych naocznych świadków, osób, które zetknęły się z gigantami lub posiadają ich włosy czy zęby – tak właśnie wyglądają owe na wpół mityczne, na wpół zaś być może całkiem realne istoty: długie owłosienie na całym ciele, długie, szponiaste pazury u palców rąk i nóg, za narzędzia kości ludzi lub zwierząt. Ponoć wydzielają też charakterystyczny, nieprzyjemny zapach; co ciekawe, o tej ostatniej cesze wspominają także opowieści o gigantach z innych stron świata, takich jak Yeti (Himalaje), Yowie (Australia), Almaz (azjatycka część Rosji) czy Sasquatch (Kanada).

Według osób twierdzących, że mieli styczność z gigantami (obserwacja lub bezpośredni kontakt), istoty owe mierzą od 2,5 do 3 metrów wzrostu i posiadają własny język.

Na Wyspach Salomona, a szczególnie na wyspach Guadalcanal oraz Malaita, mieszkają ludzie, którzy twierdzą, jakoby byli w posiadaniu włosów i/lub zębów gigantów, które to amulety dodają im sił witalnych. Niezwykle interesująca byłaby możliwość poddania takich próbek testom DNA w celu potwierdzenia – lub wykluczenia – że owe włosy czy zęby pochodzą (lub nie) od zwierząt.

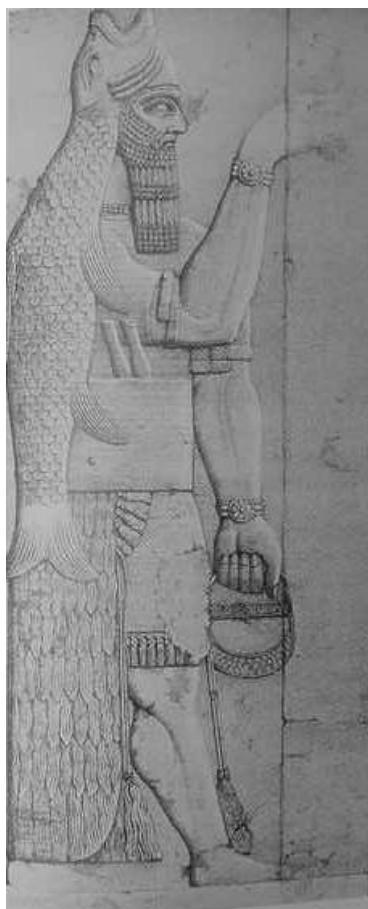
Opisywany w tekście raportu rewers monety 10-centowej. Przedstawia on wyobrażenie dziwacznej postaci, ni to człowieka, ni ryby, względnie jakiegoś stwora podobnego do trygona. Według oficjalnej interpretacji jest to przedstawienie boga morza, co symbolizować mają ryby oraz dziwaczne płetwy. Co najmniej

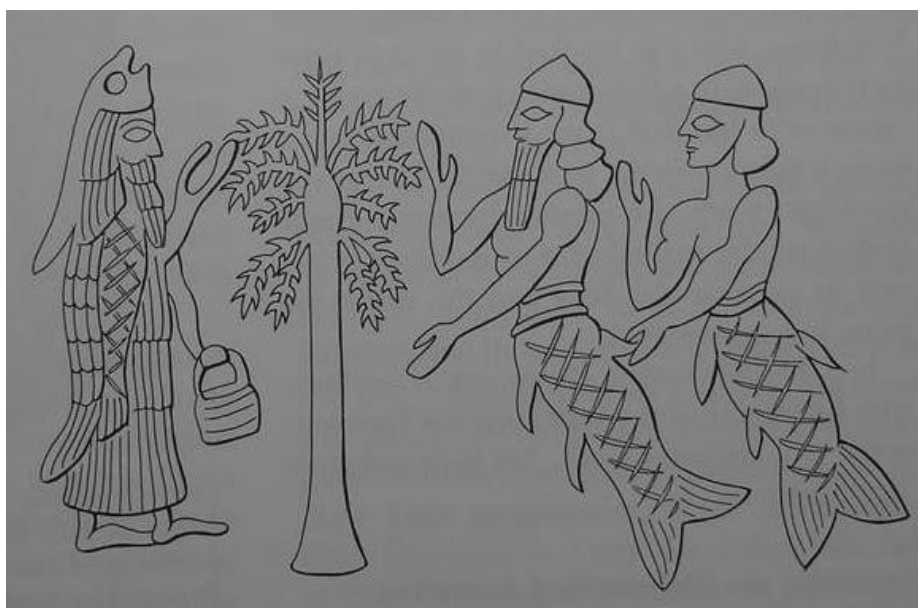
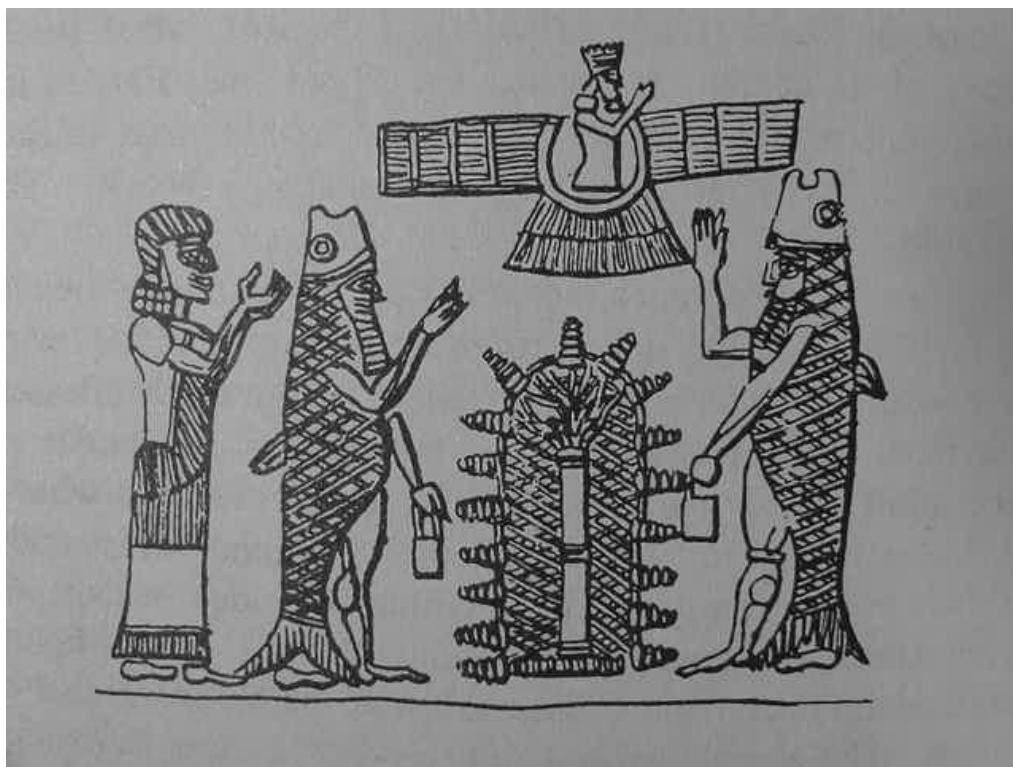


GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

dwukrotnie spotkałem się jednak z tłumaczeniem (raz od Patricka, drugi raz od kelnerki z restauracji Lime Lounge), że ów dziwny stwór z monety żyje naprawdę w głębokich lasach tropikalnych wyspy Makira i że jest demonem dżungli. Ponoć raz nawet zaatakował znajomego Patricka! Weryfikacja tego typu stwierdzeń jest niezwykle utrudniona ze względu na ukształtowanie terenu i warunki naturalne (gęste, tropikalne lasy, górzysty teren, oblepiający i obezwładniający upał, bagna, krokodyle, etc., etc.) a także ze względu na to, iż owe „demony” – o ile w ogóle istnieją – nie są łatwe do wytropienia. Niemniej możliwe jest przynajmniej zebranie większej ilości opowieści o tych stworach, i to od możliwie jak największej ilości wzajemnie się nie znających osób.

Ciekawe w prezentowanej na monecie postaci jest również i to, że ze względu na sposób przedstawiania (częściowo postać ludzka, częściowo zaś rybia) oraz pierwotne środowisko wodne (ich domem jest morze, z którego wyszły) owo bóstwo lub demon przypomina do pewnego stopnia (choć nie jest przecież ludzako podobne/y) pierwszych bogów Sumeru, wyrytych na glinianych tabliczkach czy walcach/pieczęciach, a mianowicie Ea (Oannes), Enki czy Enlila oraz innych bóstw Sumeru i Mezopotamii. Oni także wyszli z wody i rysowano ich jako pół-ludzkie, pół-rybie postaci (rysunki poniżej).





„Dragon Mountain”, czyli „Smocza Góra”, prawdziwa nazwa Mount Gallego. To na niej, a raczej wokół niej i w dolinie rozciągającej się za nią widywane są „Wężowe Smoki”, czyli dziwne kule światła, wlokące za sobą świetlny strumień, a raczej szperające snopem światła, jak gdyby czegoś poszukiwały. Choć nie czuję się w najmniejszym nawet stopniu uprawniony do dywagowania na temat tego, czym mogą być lub są (albo czym nie mogą być i nie są) „Wężowe Smoki”, to nie ulega wątpliwości, że widziałem takie światła na niebie, a jedynej ostatecznej odpowiedzi mogłaby dostarczyć ekspedycja w tamte rejony. Poniżej przedstawiam dane, dotyczące

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

położenia „Smoczej Góry” i naszego obozu, a także grafikę, pokazującą lokalizację „Smoczej Góry” i obozu obserwacyjnego. Jak widać z załączonych ilustracji, po drugiej stronie Mount Gallego znajduje się dolina. Dolina ta wiedzie ku brzegowi i być może jest to droga dojścia do wzgórza.

Położenie obozu obserwacyjnego oraz wzgórza Gallego („Smoczej Góry”)*			
Siatka	hddd.ddddd°	hddd°mm’ss.s”	UTM
Przybliżone położenie obozu obserwacyjnego (dokładność wskazań odbiornika GPS do 45 metrów; rzeczywisty punkt obserwacyjny znajdował się o ok. 200-300 metrów na południowy-zachód od obozu). Przybliżona wysokość n.p.m. 121 metrów (z dokładnością do kilkudziesięciu metrów).	S9.31508 E159.76577	S9 18 54.3 E159 45 56.8	57 L 584097 8970223
Przybliżone położenie Góry Gallego („Smoczej Góry”), wokół której i za którą widywane są światła („Wężowe Smoki”). Przybliżona wysokość n.p.m. 1064 metry.	S9.35695 E159.73334	S9 21 25.0 E159 44 00.00	57 L 580526 8965600
*Układ odniesienia: WGS84			

(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na uproszczonej mapie systemu
MapSource – skala mapy 3 kilometry:



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na uproszczonej mapie systemu MapSource – skala mapy 10 kilometrów:



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

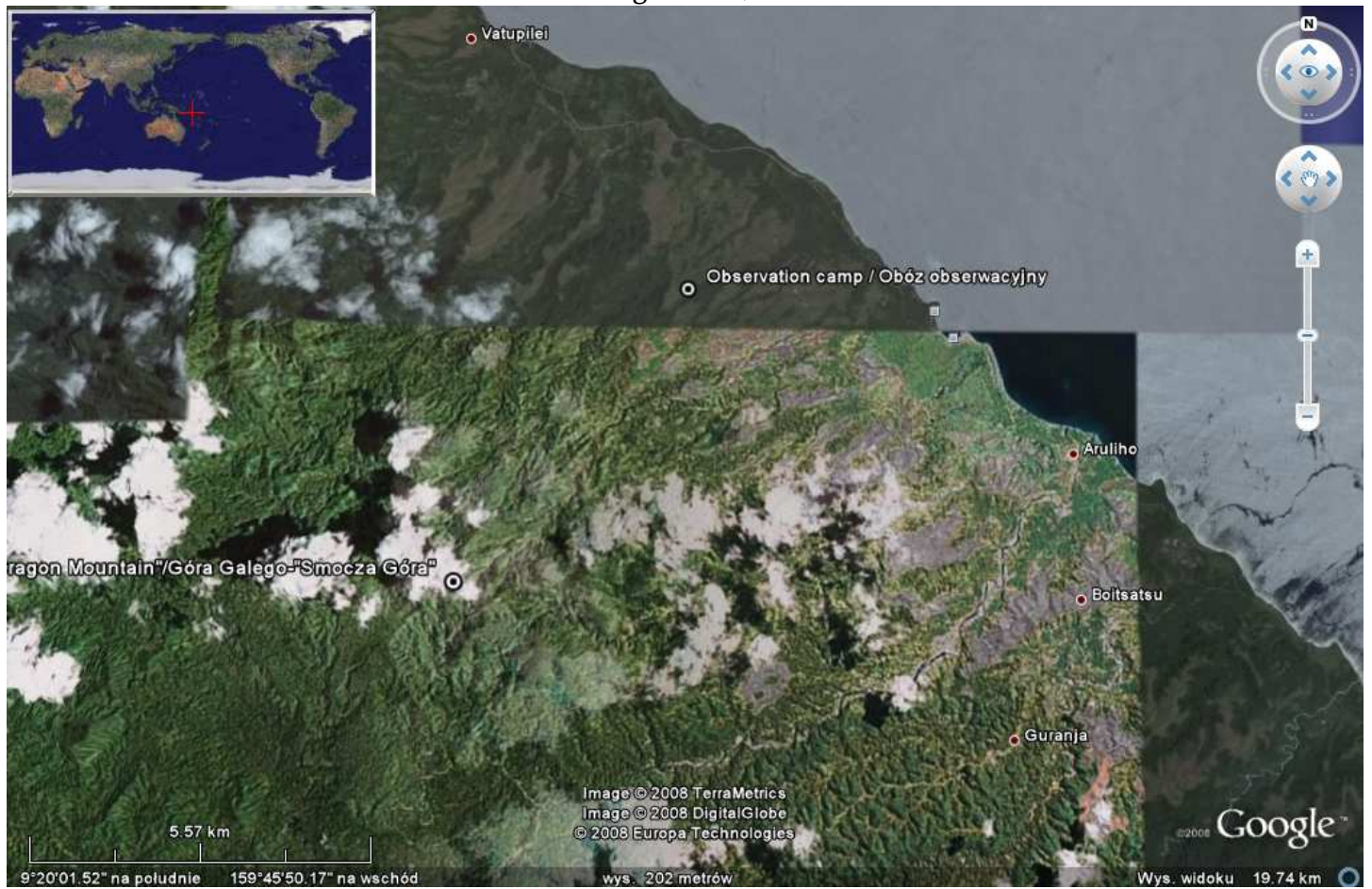
Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na uproszczonej mapie systemu MapSource – skala mapy 20 kilometrów:



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

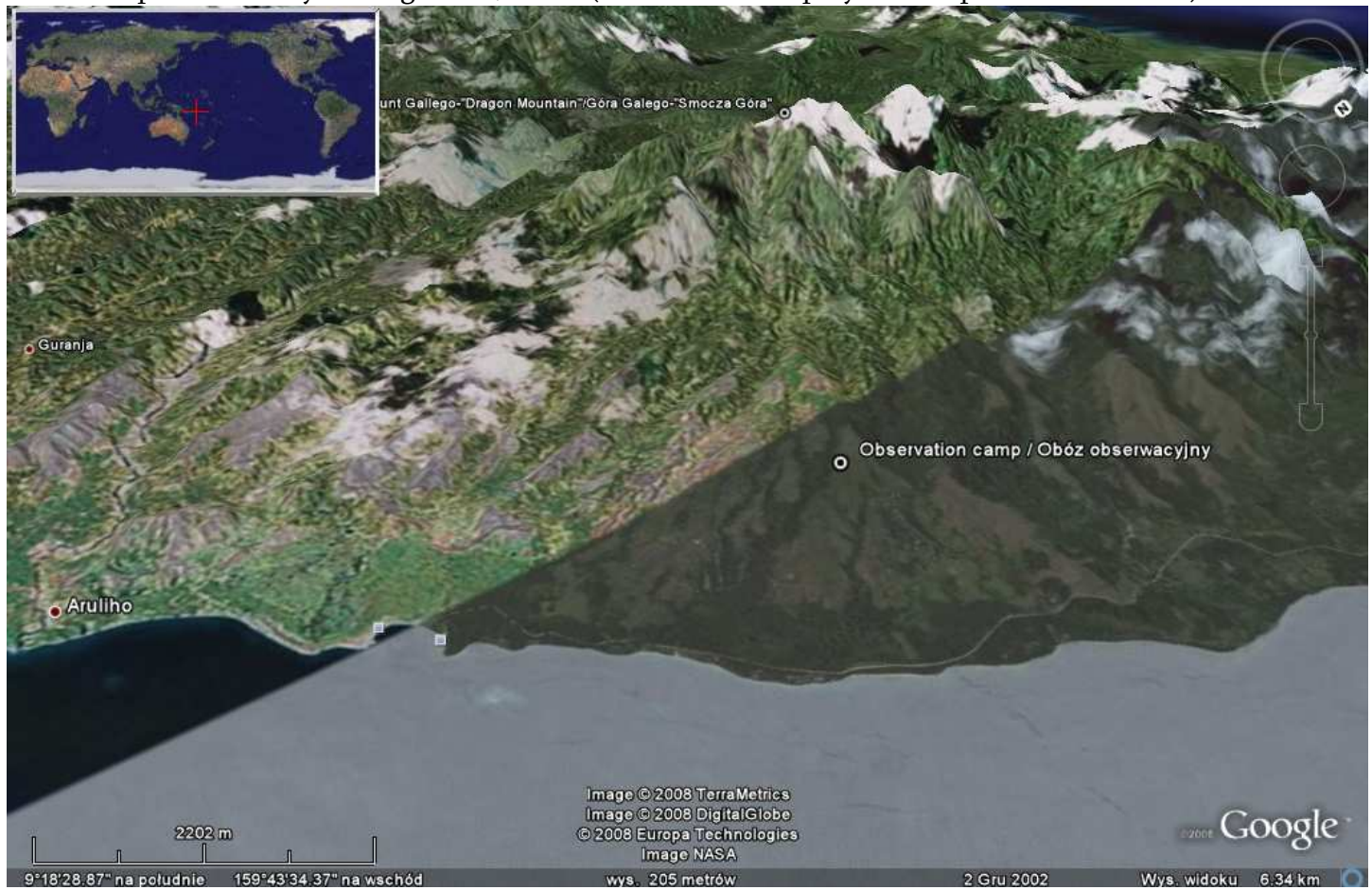
Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na mapie Google Earth – widok z góry z odległości 19,74 km.:



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

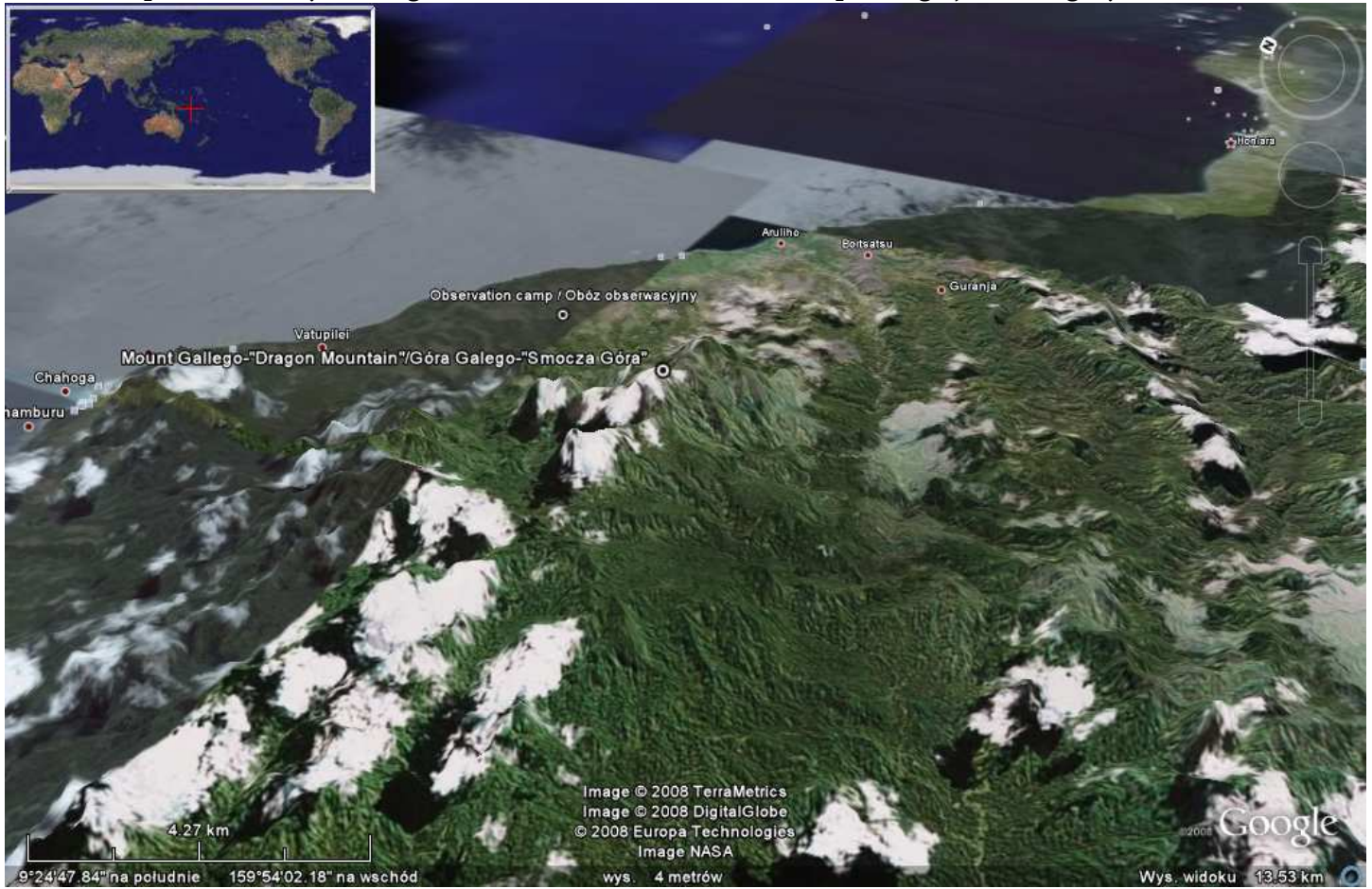
Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na mapie Google Earth – widok panoramiczny z odległości 6,34 km (widoczne także przybliżone położenie Aruliho):



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

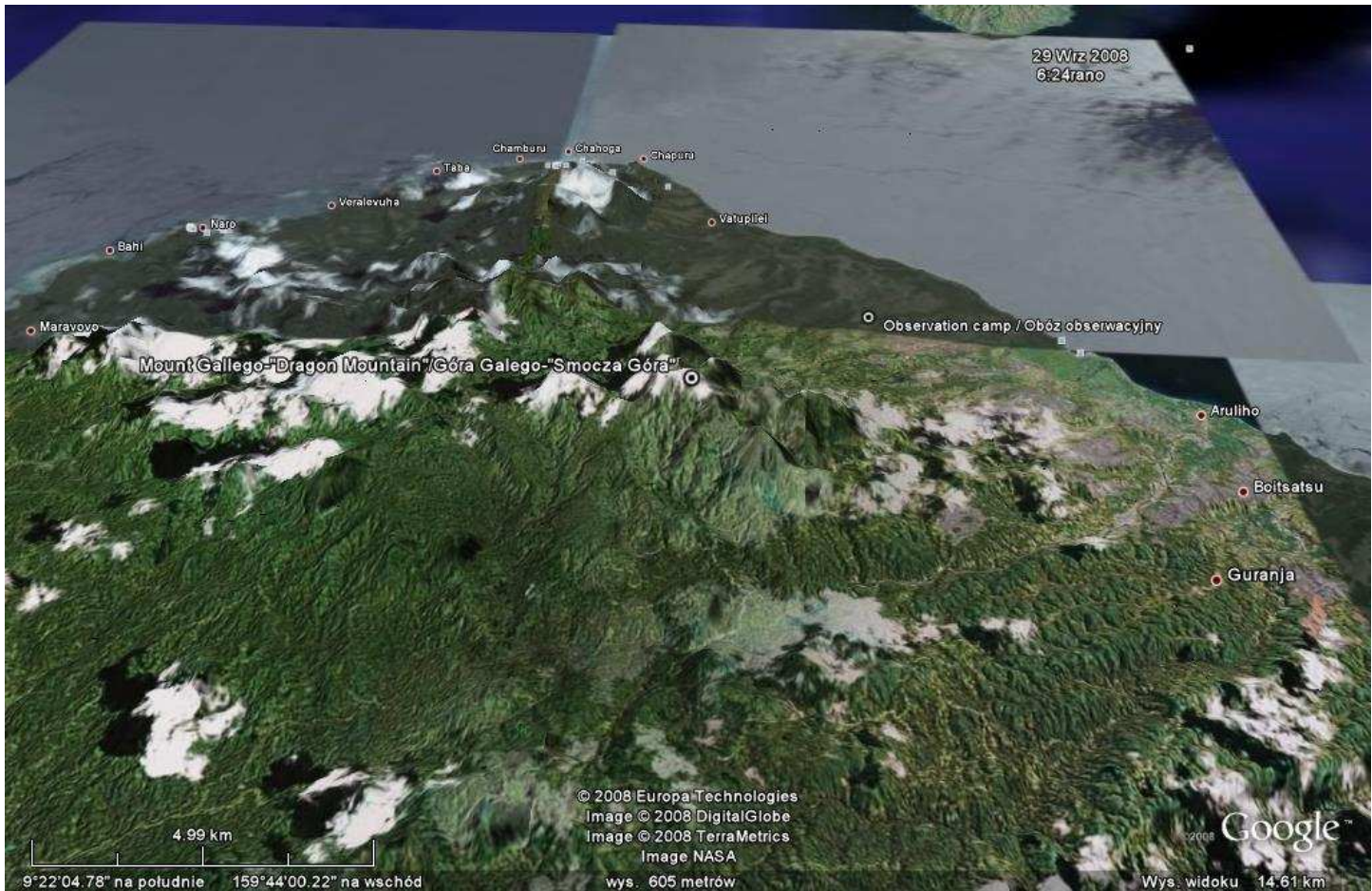
Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na mapie Google Earth – widok panoramiczny z odległości 13,53 km (widoczna dolina po drugiej stronie góry):



(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

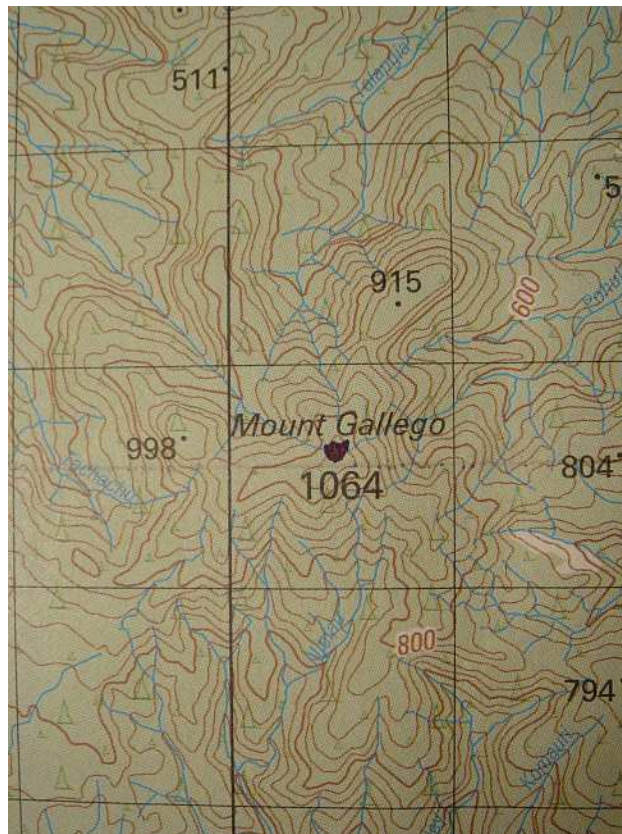
Położenie Góry Gallego i obozu obserwacyjnego na mapie Google Earth – widok panoramiczny z odległości 14,61 km (widoczna dolina po drugiej stronie góry):



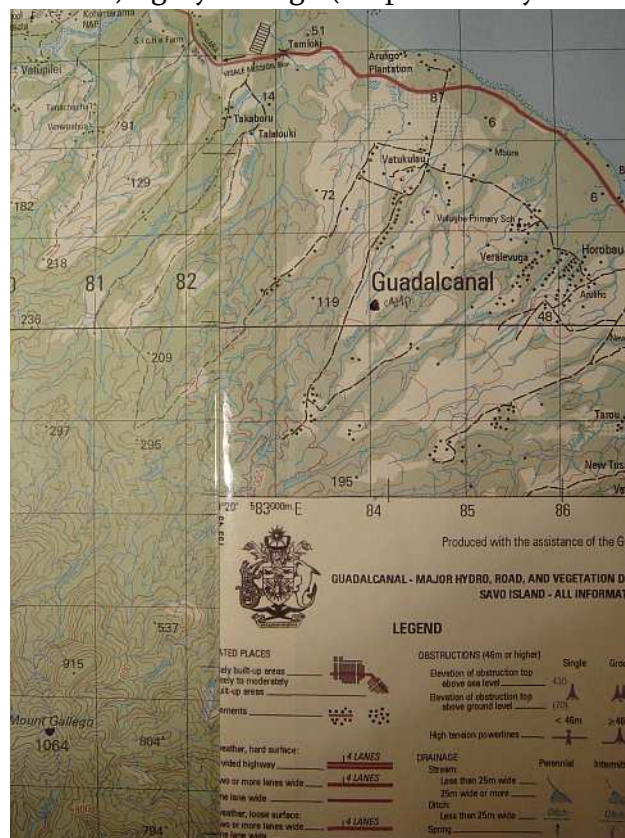
(ciąg dalszy na następnej stronie)

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

Góra Gallego na mapie. Po układzie poziomic widać, jak bardzo jest ze wszystkich stron stroma:



Fotografia sklejonych taśmą klejącą dwóch map topograficznych z zaznaczonym położeniem obozu obserwacyjnego (z kropką i słowem „CAMP” poniżej nazwy GUADALCANAL) i góry Gallego (kropka w lewym dolnym rogu)



GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

Symulacja: graficzna rekonstrukcja komputerowa snopa światła, widzianego po drugiej stronie „Smoczej Góry”. Wcześniej podobny snop, lecz o znacznie mniejszym natężeniu światła, posiadał „główkę” w postaci jaśniejszej kuli światła, stąd być może skojarzenie tego typu emanacji ze smokami i z węzami. Z którymś razem snop światła, skierowany nieco ukośnie w niebo, był znacznie silniejszy i rozświetlał całą dolinę, ale nie posiadał „główki”.



Po tej manifestacji światło przygasło i zniknęło. Przez dłuższy czas nie działo się nic szczególnego, dopiero około 40 minut później miała miejsce kolejna manifestacja: tym razem po zachodniej stronie góry (po prawej stronie od obserwatora, stojącego twarzą do „Dragon Mountain”) pojawiło się pojedyncze światło o jasności porównywalnej z najjaśniejszymi gwiazdami albo ze światłem latarki kryptonowej z bardzo dużej odległości i mniej więcej o tych samych rozmiarach. Nie mogła być to jednak gwiazda, albowiem światło nieustannie przemieszczało się z góry na dół oraz na boki. Wchylenia obiektu były zbyt wyraźne, by móc przypisać je aberracji i innym złudzeniom optycznym, towarzyszącym nieraz obserwacji gwiazd. Nie mogła być to także latarka, albowiem punkcik świetlny pojawił się przy zboczu góry, w powietrzu, w dużej (kilka kilometrów) odległości od obserwatorów, z której światło zwykłej, nawet dość silnej, latarki nie byłoby widoczne. Aby źródło owego światła mogło być latarką, musiałyby zostać spełnione następujące warunki: (a) latarka musiałaby być wyposażona w bardzo potężną baterię i żarówkę, umożliwiającą jej dostrzeżenie z odległości kilku kilometrów, (b) ktoś musiałby zostać zawieszony w powietrzu i wykonywać taką

GRAFIKA DOTYCZĄCA PRZEPROWADZONYCH BADAŃ

latarką ruchy. Przybliżoną lokalizację światła przedstawia poniższa grafika (na ilustracji poniżej światło zostało celowo nieco powiększone dla klarowności), uwzględnić jednak należy także „taniec” tego punktu po niebie, czego grafika nie odzwierciedla:

